

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Maciej Z. Bordowicz

TOCCATA

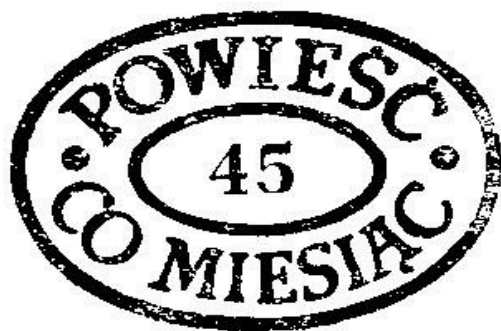


ISKRY • WARSZAWA 1972

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Maciej Z. Bordowicz

TOCCATA



Duchota dławiała wszystkich przez cały dzień.

Od tygodnia upał jak zaraza buszował między spaloną ziemią a bezobłocznym niebem, Ludzie z miasteczka wyglądali deszczu niczym zbawienia, a co dopiero powiedzieć o tych, którzy zaraz za przelotową uliczką mieli piaszczyste skrawki ziemi, obsiane starannie, z nabożeństwem dla każdego metra piachu. Ziemia schła. I w ludziach wysychały siły, ta najpotrzebniejsza codzienna energia poruszająca powszedni kołowrót pracy, a w krótkich godzinach odpoczynku dysząca ciężko jak zziajane zwierzę. Jedyne wieczory przynosiły jaką taką ulgę. To czwarte lato po wojnie jak gorący okład przylgnęło do ziemi i ludzi, którzy powoli odnajdywali się w czasie, zdawałoby się, już zabliznionym...

Dochodziła dziesiąta wieczór, ale knajpki Waclawskiego nie opuszczali jeszcze goście. Drzwi na ulicę były otwarte, na-grzane powietrze tłoczyło się do niewielkiej sali, gdzie przy kilku stolikach siedzieli mężczyźni w koszulach poznaczonych rozlazłymi plamami potu. Ślęczeli przy resztkach piwa rozbabrując widelcami strzępki marynowanych śledzi, dopijając ostatnie kieliszki ciepłej wódki. Nie słychać było nawet typowego w takich chwilach bełkotu, śpiewu, przekleństw. Ruchy tych paru „walecznych” były ociężałe i miękkie, jak gdyby duchota utrwałała ich w jakimś biernym, beznamiętnym oczekiwaniu.

Jest zatem dziesiąta wieczór, a może później. Wieczór po dniu roziskrzonym

upałem, ale powszednim, zwykłym... I gdyby nie to natarczywe słońce, nic z tego dnia nie dałoby się wynotować ciekawego, nic utrwalić w pamięci.

Za bufetem Waclawski, właściciel knajpy, dobrze utrzymany, łysiejący czterdziestolatek mozoli się nad rachunkami, ślini co chwila kłopotliwy ołówek i sumuje wypisane starannie, obłe cyfry. Co pewien czas przerywa to zajęcie i jak natrętą muchę odpędza od siebie Ramonia. Ramon nie daje za wygraną, bez przerwy wchodzi za bufet i niemal błagalnie szepcze coś knajpiarzowi do ucha.

Ramon to chuderlawy, niski, starzejący się facet. Łysą czaszkę okala mu wianuszek siwych, rzadkich włosów. Twarz jak gdyby wgnieciona do wewnątrz. Jej rysy niby szczeliny zdają się wsysać w głąb przezartą alkoholem skórę. Ciężkie i bardzo sterane palto nałożone ma na gołe ciało, za obszerne dla niego spodnie podtrzymuje pasek, a z obszarpanych nogawek wystają bosa stopy. Trzyma w rękach glinianego kogucika, takiego, którego można kupić na każdym jarmarku czy odpuście. Kogucik ten przytknięty do ust gwizdże wysoko, wibrująco.

Po raz już któryś odpędzony Ramon gwizdnął na koguciku tuż przy uchu knajpiarza.

Ktoś na sali zaśmiał się:

— Możesz mu nagwizdać!...

Ktoś inny, „dowcipniejszy”, zaintonował ożywiony nagle tą sceną:

— Gwizdź, bracie, gwizdź,
na starość torba lub... krzyż!

Pozostałym twarze drgnęły na sekundę śmiechem, by zaraz swoim tępym wyrazem z powrotem stopić się z zaduchem tego wieczoru.

Knajpiarz chwycił Ramonia za rękę, w której tamten trzymał glinianego kogucika, i wypchnął go z za bufetu.

— No już, już!... Starczy tego na dzisiaj, Ramon! Płyn stąd!

Nic już dzisiaj, bracie, nie wygwizdziesz. Swoje piwko dostałeś? Dostałeś!

Knajpiarz odrzucił od siebie Ramonia i zakończył z nerwowym śmiechem:

— Jak będę tak każdemu dawał za frajer, to zbankrutuję w try miga!... Nie, chłopaki?

Ci przy stolikach odwrócili głowy, nikt się nawet nie uśmiechnął. Palewski, wysoki, szczupły gość rzucił siedzącym wraz z nim:

— Zbankrutuje, skubany!

— Palewski, tylko bez takich... — knajpiarz otarł szybko chusteczką czoło.

— Ramoń, strzel mu mówkę! — Palewski obrócił się na krześle i spojrzał na stojącego pośrodku sali Ramonia.

— Nawiedzić mnie musi... — bąknął Ramoń.

— Dawaj, nawiedzaj się! — powiedział Palewski i wyciągnął do niego kufel z resztkami piwa.

Ramoń zaczął łapczywie pić, ktoś podał mu drugi kufel, ktoś inny dolał do niego pozostały w kieliszku naparstek wódki.

Ramoń przypiął się do tych resztek, po każdym łyku musiał

łapać głęboki oddech, oczy zachodziły mu łzami. Jego drobną postacią wstrząsał ni to kurcz, ni to dreszcz przechodzący w dygotanie całego ciała.

— No i co go podpuszczacie? — knajpiarz natarł na Palewskiego i jego kumpli. — Na co ten cyrk?

Bose stopy Ramonia przebierały palcami, jak gdyby chciały wgryźć się w podłogę, zapaść w nią aż po kostki i opanować córaz bardziej dygotające ciało.

— Ramoń, bo Zygmunta zawołam

i znowu posiedzisz! — knajpiarz szarpnął za kufel, który tamten ścisnął silnie w rękę.

Palewski trącił knajpiarza w ramię:

— Ty, ty!... Co ty go Zygmuntem, pacanie, straszysz?

Zwrócił się do swoich.

— Myśli, że jak milicjanta ma za lokatora, to klękajcie narody!...

Odsunął knajpiarza od Ramonia.

— Zasuwasz, Ramon!

— Wal, ojciec! — podbechtał Ramonia ktoś z innego stolika.

— Jest demokracja czy nie ma demokracji?... — rozległo się nagle z zaciemnionego kąta sali, gdzie siedziało trzech mężczyzn ubranych zbyt ciężko jak na tę pogodę.

Sprawiali wrażenie podróżnych, których zagnały do tego miasteczka nieprzewidziane kolizje w rozkładzie jazdy.

Ramonia nie trzeba już było dłużej prosić. Otarł usta z piany po piwie, gwizdnął na glinianym koguciku i wlepiając w knajpiarza wodniste, mętne oczy zaczął:

— O, ty się zbudzisz pewnej nocy, bo poczujesz, że coś cię zjada! I ty zawyjesz w rozpacz! A potem już będziesz wył jak opętany; bo ujrzysz, co cię zjada. Twoje pieniądze! Setki, pięćsetki jak szczury dobiorą się do ciebie! Cyfry jak zęby będą cię gryźć, a zera będą kołować i kołować nad sumieniem... I wtedy przyjdiesz do mnie i powiesz...

Dochodzi już chyba jedenasta. Sierżant Zygmunt Morawski, komendant miejscowego posterunku, wraca po przeciągającej się służbie do domu. Mieszka na piętrze, w kamieniczce knajpiarza Wacławskiego. Parter kamieniczki zajmuje knajpa. Myśli o tym, jak wejść, żeby nie zbudzić żony i dzieci, odgrzać kolację i walnąć się wreszcie do łóżka zaciągając iad sobą sen jak dymną zasłonę, którą rozproszy dopiero świt. Sierżant Zygmunt Morawski jest młodym, najwyżej trzydziestoletnim męż

czyną, średniego wzrostu, o rysach twarzy dość przeciętnych, które jak gdyby rozbełtują kędzierzawe, jasne włosy. Widzi otwartą jeszcze knajpę, zdejmuje czapkę, wyciera chusteczką jej zapocone wnętrze, wchodzi...

— ...a zera będą kołować i kołować nad sumieniem... I wtedy przyjdiesz do mnie i powiesz...

Ramoń urwał nagle widząc wchodzącego do knajpy Zygmunta, szybko wycofał się w głąb sali.

Zygmunt skinął głową siedzącym i podszedł do bufetu.

— Po służbie? — zagadnął knajpiarz.

— Ano! — Zygmunt rozpiął pod szyją mundur — Ale duchota!...

— Może jeszcze potrzymać — westchnął knajpiarz.

— Pan się martwi? — Zygmunt powiódł okiem po sali. — Jak na tę godzinę, to prawie pełno.

— Niech ich cholera, pijaczków!... — knajpiarz? spojrzął w stronę stolika Palewskiego.

— A co, liczył pan na klientelę z Zakonu Franciszkanów? —

zaśmiał się Zygmunt.

— Nie, to nie to — knajpiarz machnął ręką i sięgnął po butelkę. — Jednego, panie Zygmuncie?

Jeden mały nie zaszkodzi...

Chciał już nalać, Zygmunt położył rękę na kieliszku.

— Może lepiej piwko — powiedział — Jeden ani grzeje, ani ziębi. Aha, żona coś mi mówiła, że miał pan jakieś koszta z naprawą dachu... Dlatego wdepnąłem.

Sięgnął do kieszeni po pieniądze, a knajpiarz zezując na salę postawił przed nim piwo.

— Głupstwo, panie Zygmuncie!...

— Wziąłem akurat pensję, chciałbym od razu uregulować...

— Nie śpieszy się! Jeszcze nie skończyli naprawiać, nie wiem, ile to wyniesie...

W tym momencie Ramoń zawadził

rękawem palta o puste kufle, zadzwieczało. Zygmunt, upijając łyk piwa, dostrzegł go.

— Jeszcze nie śpisz? — spytał z uśmiechem.

— On by kiedy przespał zamknięcie lokalu — odpowiedział

knajpiarz.

Na słowo „lokal” ktoś przy stolikach parsknął śmiechem. Ktoś z tej trójki w głębi sali, z zaciemnionej kąta.

— No dobra — Zygmunt rzucił na bufet drobne za piwo i spojrzął w otwór drzwi, za którym noc zdawała się być stygnącą, czarną lawą. — Deszcz by się przydał, co? Koszmarna duchota!...

— Tak jest, pod czaszką aż się gotuje — dorzucił knajpiarz.

— No to dobranoc.

— Dobrej pocy, panie Zygmuncie.

Zygmunt skierował się do drzwi znajdujących się prawie obok bufetu. Otworzył je i kiedy wstąpił na schody prowadzące na piętro usłyszał głos knajpiarza:

— Na schodach żarówka się przepaliła. Niech pan uważa.

— Jakoś trafię — usłyszał knajpiarz i drzwi za Zygmuntem się zamknęły. Waclawski wrócił za bufet i chciał, śliniąc kłopotliwy ołówek, powrócić do przerwanych rachunków, kiedy doskoczył do niego Ramon. Poczęstunek zrobił swoje, Ramon już nie dygotał, wprost przeciwnie, był napięty jak struna.

— Myślisz, że ja się go boję? — zaczął krzyczeć w twarz knajpiarzowi. — A gównno! Ja ci wszystko powiem, do końca! Ty wtedy przyjdiesz do mnie i poprosisz: Ramoń, bierz wszystko.

Poprosisz albo będziesz błagał na kolanach, będziesz błagał: Ramoń, Ramoń, ty jesteś człowiek, ciebie pieniądze jak te szczury nie zeżrą...

Resztę słów Ramonia zagłuszył śmiech z sali. Jak gdyby odłupano od nich całe zmęczenie od duchoty i wódki, pokładali się na stolikach ze śmiechu, niemal tarzali twarze w zakąskach, wypadały im z warg wyćpane do końca pety.

Knajpiarz rzucił się w stronę Ramonia, który nieomal w tanecznych podskokach zaczął wycofywać się do drzwi.

— Fruwaj stąd, ale to już! — krzyczał Waclawski nie spostrzegając, że trzyma w ręku wyciągniętą spod bufetu przedwojenną jeszcze pałkę.

Ramoń w progu drzwi wejściowych gwizdnął parę razy na koguciku ku uciesze całej sali. Knajpiarz już miał go dopaść, kiedy z zaciemnionego kąta sali, gdzie siedziała trójka przyciężko ubranych mężczyzn, odezwał się szorstki, chropawy głos:

— Zostaw go!

Brzmiało to prawie jak rozkaz.

— O co chodzi? — knajpiarz zastygł w bezruchu.

— On nam się podoba — usłyszał inny, młody głos. — Zapłacimy za niego. Zostaw go.

— Chodź tu! — powiedział chropawym, szorstkim głosem siwowłosy mężczyzna — Ty, nawiedzony!... Podejdź!

Waclawski splunął i zaczął zamykać wejściowe drzwi od frontu na zasuwę. Potem na wewnętrzne kłódki zamknął okiennice.

— Przez podwórko wyjdziecie — powiedział patrząc po sali. —

I zwijać się, żony ślubne czekają! Tylko patrzeć, jak któraś z krzykiem przyleci!... Mają one z was pożytek... Jak któremu raz na miesiąc stanie...

— Ty lepiej patrz, kto twoją szpachluje! — rzucił Palewski.

— Jazda, tyłek w troki i do chałupy! — uciał śmiech sali knajpiarz.

— Nie strasz, nie strasz, bo się... — Palewski nie dokończył, fala śmiechu znów przetoczyła się po sali.

Zaczęli się podnosić od stolików.

Wychodzili drzwiami znajdującymi się tuż przy bufecie, by przez niewielką za ciemnioną sień wydostać się na podwórze, a stamtąd na ulicę.

Ramoń zbliżył się do stolika w kącie sali. Panował tu półmrok, twarze trzech mężczyzn wtopione były w cień, lekko zamazane. Tylko siwe, gęste włosy najstarszego świeciły nad tym stolikiem niczym lampa. Jeden z jego kompanów był otyły i jakby przedwcześnie postarzały, drugi młody i szczupły, ciemny zarost obryso- wywał mu szczęki.

— Rąbnij za nasze zdrowie — powiedział siwowłosy i przed oczami Ramonia wyrosła dłoń ze szklanką napełnioną po brzegi wódką.

Zaraz potem ten najmłodszy z nich podał mu na widelcu kawałek baleronu. Ramoń wychylił szklankę i zaczął resztką zębów przeżuwać plasterek wędliny Siwowłosy odchylił się w krzesło, jakby chciał zrobić jakieś zamówienie, i wtedy Ramoń zobaczył jego twarz. Zobaczył ją w jednym błysku, w jednej sekundzie, kiedy złapała światło padające ze środka sali.

Cofnął się raptownie o krok, ale siwowłosy już trzymał go za poję palta i śmiejąc się wyłuskiwał mu z kieszeni glinianego kogucika.

— Przekąsiłeś? — zapytał Ramonia — Przekąsiłeś, prawda? To daj teraz i mnie., przekąsić.

I na ogonie glinianego kogucika za cisnął zęby. Chrupnęło i siwowłosy, jakby to był kawałek suszonej kiełbasy, zaczął gryźć w zębach wypaloną glinę.

Ramoń patrzył na to z przerażeniem Jego oczy sprzęgły się z ruchem żujących szczęk tamtego. Było w tym coś takiego jak gdyby ta czynność poruszyła dawne zardzewiałe tryby pamięci i wywołała fragmenty, strzępy obrazów, do których za żadną cenę nie chce się wracać.

Kompani siwowłosego parsknęli śmiechem, kiedy ten oddawał

Ramoniowi ogryzionego kogucika mówiąc:

— Miałeś koguta, masz teraz kurę!

Knajpa już całkiem opustoszała. Wa cławski siałął butelki z pólek, zamykał je w schowku pod ladą, ogałacał bufet z zakąsek.

—
Koniec, panowie! Zamykam! — rzucił w stronę kąta.

Podszedł do ich stolika, w pamięci obliczył rachunek. Tamci zapłacili, a kiedy chciał wydać resztę, machnęli ręką.

—
Uprzejmie panom dziękuję — kłaniał się knajpiarz. — Proszę wyjść przez podwórze. I cichutko, prosiłbym, cichutko, bo jak panowie widzieli, lokatora mam...

— Lokatora!... — burknął otyły.

—
Glina też człowiek, mieszkać gdzieś musi — zaśmiał się wrednie knajpiarz. — Nasłali mi go z żoną, z dziećmi. Młody jeszcze, a już się trójki dorobił. Komendant naszego posterunku, więc rozumiecie, panowie... Poza tym równy chłop.

Jak czasem — dodał.

—
Gdzie on mieszka? — siwowłosey zatrzymał się w progu sieni.

— Na pięterku.

—
Szczęśliwy toś pan z tego sąsiedztwa nie jest, co? —
zaśmiał się ten z ciemnym zarostem.

—
Panie, co tu dużo mówić!... — knajpiarz wzruszył
ramionami. — Fakt, że komorne płaci regularnie, co to, to złego słowa...

—
Ma z czego — przerwał mu otyły — Gliny teraz na wagę złota.

I spojrzął na siwowłosego. Ten uśmiechnął się i wsunął rękę do wypchanej kieszeni.

—
Jasne, żywe złoto — powiedział cicho.

W tym samym momencie drzwi od sieni otworzyły się i na bufet lekko zatoczył się Palewski.

—
Ty, daj jeszcze setę — zrobił oko do knajpiarza. — Jestem taki ani wewtą, aniwewtą!... Daj setę.

— Szlus! Ja też kiedyś muszę spać!

— Daj, nie bądź bydlę.

— Całuj mnie, wiesz!...

—
To pies ci mordę lizał — zakończył Palewski i wtoczył się do sieni.

—
No wychodźcie, panowie, wychodźcie — przynaglił resztę knajpiarz.

Wzięli do rąk trzy polatane ni to worki, ni to plecaki, które leżały w rogu koło ich stolika. Ostatni wychodził siwowłosey.

Zatrzymał się chwilę w progu i spojrzął w głąb sali, gdzie przy ścianie przycupnął Ramoń. Z jego ostrej i nie tak starej jeszcze, kontrastującej z siwizną twarzy wydarło się spojrzenie, które zdawało się Ramonia niemal właczać w podłogę.

Zostajesz? — zapytał z uśmiechem — Nie wychodzisz jeszcze?... Chodź, przejdziemy się razem kawałek, pogadamy...

Wyglądasz na rozmownego gościa.

Ramoń milczał.

—

Chodź, mówię! — siwowłosy prawie krzyknął.

—

Co pan sobie nim będzie głowę zawracał! — wtrącił się knajpiarz — To wariatuńcio! Sam pan słyszał, sam pan widział!...

Siwowłosy nie spuszczał wzroku z Ramonia.

—

Tak jest, widziałem. Napatrzeć się nie mogłem — powiedział i jeszcze raz zwrócił się do wtulonego w ścianę człowieczka. —

Idziesz?

Odczekał chwilę.

— Dobra, jak chcesz, jak chcesz...

Wyszedł i wtedy Ramoń rzucił się do knajpiarza.

—

Ty, daj tu przespać — wyszeptał błagalnie.

— Won!

Starannie składał banknot, którym tamci mu zapłacili.

—

Daj przespać tutaj... Daj! Błagam! — Ramoń osunął się przed nim na kolana i rękami zaczął się czepiać jego nóg.

—

Cholera by cię wzięła, ty pijaczku boży! — warknął knajpiarz. — Zwijaj się i to już! Noc dzisiaj ciepła, na ławce możesz przespać.

— Daj, daj!... — błagał Ramoń — Jaja się boję!

— A niech cię jasna... — knajpiarz chwycił go za klapy palta i podniósł z podłogi. — Ty skończ lepiej, bracie, z tym udawaniem kopniętego! Ludzie już o tym różnie mówią!... Tak, tak, różnie się mówi, jak to jest z tym twoim struganiem wariata! Że niby co — ty jeden przeżyłeś piekło? O, bratku, ludzie nie przez takie piekła przeszli i żyją, pracują — normalni! Nie bój nic, Ramoń, ludzie wiedzą, na co cię stać!...

— A jak cię Niemcy wzięli na zakładnika, to kto wtedy wskazał drogę, kto ci powiedział, jak uciekać?...

Ramoń uderzył o jego piersi swoją dygoczącą głową.

— I na co wtedy mnie było stać, co? — krzyknął.

Knajpiarza na sekundę zamroziło.

— No dobra już, debra... — wykrztusił po chwili i zaraz rzucił ostro: — Cholera, do końca życia będę ci się z tego wypłacał, co? Do końca życia, tak?

Ruszył do drzwi przy bufecie, w progu obejrzał się jeszcze.

— Tylko jak zobaczę rano, żeś coś gwizdnął...

Pogroził Ramoniowi pięścią. Tamten dmuchnął w odpowiedzi w

„okaleczonego” kogucika. Knajpiarz zgasił światło i wyszedł

trzasnąwszy drzwiami. Chciał zaryglować zewnętrzne drzwi, ale poczuł, że należałoby jeszcze

przed snem zająć do wygodki znajdującej się na podwórzu.

Ramoń zaczął szperać wśród kufla. W niektórych znajdował jeszcze na dnie odrobinę piwa. Kiedy już załatwił wszystkie resztki, przykucnął za bufetem. Obmacał drzwiczki schowka.

Wysupłał z palta specjalnie zagiętą agrafkę i zaczął majstrować nią przy kłódce. Wreszcie kłódka puściła. Otworzył drzwiczki. Zabłysło szkło butelek stojących na podłodze. Ten schowek nie miał półek, był po prostu czymś w rodzaju zamykanej pod bufetem wnęki.

Ramoń odkorkował jedną z butelek.

— Zapomniał drań, jaka była między nami umowa — wyszeptał. —

Piwo i seta. Taka była umowa. Na śmierć i życie taka umowa!... Dzień w dzień!

Odlał- sobie do kufla setkę, butelkę zakorkował i chciał wstawić z powrotem do schowka.

— Cudzego nie biorę. Swoje odlewam, tylko swoje — zdążył jeszcze powiedzieć ściskając w drżącej ręce kufel.

Ramoń nie wypija należącej mu się za uratowanie Waclawskiego codziennej setki. Kiedy czuje na języku pierwszy drażniący łyk wódki, słyszy nagle w sieni zduszony krzyk knajpiarza:

—Ratunku! Na pomoc!... Bandyci!...

Za trzy kwadransy na masywnych, ściennych zegarach powinna wybić północ.

Ramoniowi rozlana wódka ścieka po brodzie. Słyszy teraz odgłosy bójki, jęk, potem tupot nóg jakby ktoś szybko zbiegał

po schodach. Zaraz potem krzyk Zygmunta:

— Stać! Ręce do góry!... Nie ruszać się!... Nie ruszać się, bo strzelam!

—A strzel se, ty...

Tego krzyku przerażony Ramoń nie umie już rozpoznać. Odgłosy uderzeń jak ciskane o ściany mięso, suchy trzask dartego ubrania, przekleństwa i krzyki wygniatające w nocnej ciszy swoje nieludzkie piętno...

Ramoń, potracając o butelki, wpełzł do schowka i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Wtedy na sali rozbłysło światło. Zobaczył

rozświetloną szparę w listwach, z których zbudowane były zewnętrzne ścianki bufetu. Ktoś upadł popchnięty na stolik, który załamał się z trzaskiem. Ramoń poczuł, jak pot zaczyna obrastać mu twarz i niczym lodowiec pełznąć wzdłuż ciała, aż po palce stóp.

—
Coś zrobił z tym... z tym idiotą? Z tobą nie wychodził.

Całe jego ciało rozsadzał tępy lęk. I ten głos docierał do niego jak przez grubą ścianę, jakby głuchy, zniekształcony kamienną przegrodą. Ale zaraz potem zaczął słyszeć, zaczął słyszeć coraz wyraźniej...

—
Wypuściłem go... wypuściłem frontem — to bełkotał

knajpiarz. — Frontowymi drzwiami... On się awanturuje, krzyczy... Nie chciałem, żeby lokatorów...

Knajpiarz załkał nagle:

— Panowie, co chcecie z nami...

— Lokatorów!...

— Panowie, na miłość boską!...

—

Lokatorów! — powtórzył chropawy głos. — Niestety, jeden niepotrzebnie się obudził.

To wystarczyło, Ramoń już teraz wiedział, przez czyje zęby przecisnęło się to zdanie. Przycisnął czoło do szpary w listwach, ale mógł zobaczyć niewielki tylko wycinek sali, który co chwila przesłaniała czyjaś postać. Mógł tylko słuchać, słuchać i przyjmować każdy z «, głosów padających z tej rozświetlonej sali jak postrzał.

Czuł jednocześnie, jak każdy nerw ścina się w nim, tężeje, a dygot ciała przeradza się w nieruchome, odrętwiałe napięcie.

Głos Zygmunta:

— O có wam chodzi?

Głos siwowłosego:

—

Jak będziesz grzeczny, to się dowiesz. A swoją drogą, jak ty dbasz o broń?...

Głos najmłodszego:

— Nie konserwujesz jej czy jak?

Głos otyłego:

—

To tak można teraz w tej waszej „policji obywatelskiej”?

Głos siwowłosego:

—

No i widzisz, jak żeś obronił obywatela?

Śmiech.

Głos siwowłosego:

—

Że też ci się musiała ta twoja sa- wieckaja tetetka akurat w takim momencie zaciąć!... Pech, co?

Rumor, krótki kobiecy szloch.

Głos kobiety:

—

Zygmunt!...

Głos otyłego:

—

Ściągnąłem ją z góry. Lepiej ją mieć na oku. Chciała się drzeć, ale zaznaczyłem, że jej dzieciaczki obudzą i może spróbuję skrzywdzić... Uspokoiła się. Czuj czuwaj, siostrze, my grzecznie, cichutko, bachorów nie obudzimy.

Głos kobiety:

—

Zygmunt, oni... oni...

Głos Zygmunta:

—

Uspokój się, proszę, uspokój się. To się. zaraz wyjaśni, wszystko się wyjaśni. Czego chcecie?

Głos siwowłosego: u

—

Powolutku, panie władzo, powolutku!...

I Ramoń usłyszał jakieś szarpnięcie, a potem szparę, w którą wciskał wzrok, zakrył fragment

marynarki siwowłosego i ktoś drugi obok uderzył pięścią w bufet. Rozmawiali raczej szeptem.

Głos najmłodszego:

—

Ty, słuchajno, Goch... Mnie się to nie podobał Na jaką cholere mamy się wrabiać z tym milikierem? Co, chcesz się zabawić? Teraz? Zwijamy się stąd!...

Głos siwowłosego:

—

Spokojnie, Michałku, dziecię nieszczęścia, spokojnie!...

Głos Michała:

—

Ty zawsze masz cholerne pomysły! .

Głos Gocha:

—

Nieźle dotąd na nich wychodziłeś.

Głos Michała:

—

Śpiewająco! Po tamtej wpadce w Giżycku po całej Polsce nas już pewnie szukają! Ostatnie województwo, ostatni, psiakrew, powiat, gdzie mieliśmy trochę spokoju i można było odczekać, a ty...

—

Mnie to mówisz?

— Kończmy z tym!

Spokój! Nie bój się, już ja wiem, co ryzykuję!

— Każdy!

— Nawet ci się nie śni co!

— Wolałbym, żeby się nie przyśniło.

—

Słuchaj, gówniarzu, to jest ostatnia szansa, żeby złapać grubszą forszę. Przez granicę nikt cię za piękne oczy nie prze-rzuci. Trudno! Teraz albo... Do tego wszystkiego jeszcze ten trzaśnięty w mózdzek gdzieś się ulotnił! Dobra, nie ma czasu!

Walendzik, rób swoje!...

—

Zastanawiam się, zastanawiam, dlaczego ty tak to lubisz ... — głos Michała był wyraźnie rozdygotany.

— Co?

—

Krew. Na «każdym kroku, przy byle okazji...

Śmiech Gocha:

—

Tak mnie już Pan Bóg pomyślał!... Zaczynaj, Walendzik!

Odgłos uderzenia, jęk knajpiarza i głos otyłego:

—

To na początek, żeby nam się lepiej rozmawiało.

Głos knajpiarza:

—

Panowie!... Ja oddam... Wszystko, co mam, oddam! I słowa nie powiem, przysięgam na Boga jedyne, słowa nie powiem!...

Głos Walendzika:

— Ile tego masz?

Ramoniowi przeszło uszy wycie Waclawskiego. Rytmiczne, odmierzane z precyzją ciosy grzęzły w ciele człowieka, z którego ust zaczęły się sypać cyfry jak błagalna modlitwa.

Złoto, czerwońce, dolary. Jęk męzczyzny miesza się z krzykiem kobiety.

Boże, Boże, ratunku! — szybuje jeszcze w oparach zadymionej sali.

Ramoń poczuł, że coś zaczyna go ugniatać w ramię. Półka, nieduża półka. Na- rnacał ręką — pistolet. Ręka zacisnęła się na rękojeści, jej pot niemal wżarł się w ebonitowe okładki.

Zaraz potem usły

szął krzyk Zygmunta „Dranie, dranie”, dźwięk tłuczonego szkła i przez sekundę mignęła mu w rozświetlonej szparze sylwetka milicjanta, spięta w skoku, rozbita światłem i mgłą, która naraz zasnęła mu oczy.

Palec delikatnie objął spust pistoletu, choć cała dłoń zaczęła znów dygotać...

Ten pokój udało im się zdobyć niemal cudem. Było jeszcze coś w rodzaju wciśniętej w korytarz kuchni i łazienki, która poza popękaną emalią wanny i kapiącymi kurkami od biedy raczej przypominała ów niezbędny przybytek. Ale wchodzili tu jak do rajy, jak do miejsca, o którym nie każdy mógł w tym czasie za-marzyć. Wyprowadzka i wprowadzenie.

Na brudnych i popękanych ścianach bieleły jaśniejsze plamy po zdjętych oleodrukach, naga żarówka tliła się niepewnie pod wysokim sufitem, ogołoczone z firanek okna wychodziły na podwórko-studnię ssące w południe zaduch miasta. Stał tu teraz w tym pokoju ustawiony pośrodku i tymczasowo tapczan, trochę książek na wybrzuszającym się parkiecie, walizki ledwo rozpakowane, trochę talerzy i naczyń kuchennych. W osobnym punkcie pokoju, na dwóch zestawionych ze sobą krzesłach, między wiązkami kwiatów, stało parę skromnych prezentów...

Właśnie.

Miasta nie opuścił ten sam, kołujący jak rozogniony lotem ptak, upał. Wieczór, nocna godzina przynosi krótkotrwałą ulgę, Ale w powietrzu jest duszno, nabrzmiewa puchącym od żaru niebem i zda się, że deszcz lada chwila uderzy o ziemię.

Masywne ściennie zegary w paru mie- szczańsko-zasobnych domach wydzwanają wpół do pierwszej w nocy.

Pół godziny temu porucznikowi Adamowi Płońskiemu skończył

się jego wielki dzień. Był wielki. Jeszcze nie wie, że potem zaczną się coraz mniejsze, mniej sze, codzienne, niezależnie od tego, że miłość może się wylewać za progi z ich ziejącego pustką ścian mieszkania, z którego stworzą zaciszny, pełen ciepła rodzinnego kąt.

Kiedy?

Na razie porucznik Adam Płoński, zmęczony nieco ślubem, przyjęciem i czernią garnituru, siedzi wraz z młodziutką mał-

żonką Irminą (już Płońską) na tapczanie, pośrodku ogołoczonego z wszelkich atrybutów przytulności pokoju. Irmina ma na sobie jasny kostium, który podkreśla jej zgrabną, bardzo kobiecą sylwetkę. Adam trochę niezgrabnie wygląda w czerni garnituru, a już szczególnie wstążeczka z gałązką asparagusa w klapie marynarki — przy jego chłopięcej, trochę nerwowej twarzy —

sprawia, że wszystko to razem wygląda dość głupio. Irmina przyciska do piersi naręcz kwiatów, oboje siedzą bez ruchu, w skupieniu, jakby pozowali do ślubnej fotografii.

Adam „wyłamał” się z tej fotograficznej pozy.

— Dziękujemy panu bardzo — powiedział do nie istniejącego osobnika. — Proszę zdjęcia małżonków Irminy i Adama Płońskich przesłać na nowy, tym razem już wspólny adres!...

Irmina wybuchnęła śmiechem.

— Jeszcze raz dziękuję — zgrywał się dalej Adam — i mam nadzieję, że rozpoznamy się na tych... małżeńskich listach gończych,

Irmina rzuciła w niego kwiatami nie przestając się śmiać.

Złapał je w locie i włożył w jej rozwarte dłonie, jakby to był wazon.

— Gdy w filmie jest taka scena — powiedział cicho — to zazwyczaj szmerze gdzieś w dali ukryta muzyka. To prawie obowiązkowe w takich scenach.

— Muzyka?

— Upojny walc — odpowiedział starając się nadać swojej twarzy wyraz roz bieranego namiętnościami bladolicego kochanka.

— Muzyka... — powtórzyła Irmina.

— Oczywiście. Nie wyobrażam sobie bez niej następnych pięciu minut. Każdych następnych minut — poprawił się.

Irmina zerwała się z tapczanu i zniknęła w drzwiach łazienki. Po chwili Adam usłyszał szmer lejącej się do wanny wody. Nie musiał czekać długo. Drzwi łazienki otworzyły się i Irmina niemal „wtańczyła się” do pokoju.

— Mogłabym w rytmie tego walca tańczyć aż do świtu —

krzyknęła otaczając tanecznym ruchem tapczan. — Szum, szum wody we własnej łazience — znasz piękniejszą muzykę?

— Moje kochane głupty!

Tańczyli. Rytm niesłyszalnego bostona dyktował każdy ich ruch. Zapomnieli o lejącej się do wanny wodzie. Melodię mieli w sobie. Ten szmerzący strumień wody zdawał się być odległym — jak w marzeniu — szmerem poruszanych na jesiennym wietrze drzew.

Wtedy usłyszeli u drzwi dzwonek.

Zatrzymali się w pół obrotu...

— Zapraszałeś kogoś? — przymknięte powieki Irminy uniosły się nagle — Miałam już dość tego przyjęcia... Adaś!

Adam obciągnął na sobie karawaniar- ską czerń garnituru.

— Dlatego teraz: niespodzianka! — szepnął jej do ucha, a kiedy jeszcze nic nie rozumiała, wyjaśnił: — Janek! O tany, Janek! A prawda, ty go jeszcze nie znasz. Dopiero co przyszedł

do nas po szkole. Miał wykombinować szampana. Sojuszniczego, oczywiście. Zajmij się, Ineczko, pucharami.

— Pucharami? — Irmina uniosła wysoko brwi.

Adam był już w korytarzu, zawrócił, pocałował jej dłonie.

— Ineczko, czy kubki do mycia zębów nie mogą w takim dniu zastąpić pucharów? Przed chwilą z wody lejącej się do wanny stworzyłaś mi niemal Copaca- banę...

—

O Boże, będziemy zaraz pływać! — krzyknęła i rzuciła się do łazienki.

Usłyszał jak zakręca gwałtownie kurki, podbiegł do drzwi, które prawie wysadzał już z zawiasów parokrotny dzwonek.

Otworzył je z zasuwy, na klatce schodowej było ciemno.

— Wchodź, Jasiu!

W drzwiach pojawiła się postać zwalistego, niskiego raczej mężczyzny. Pięćdziesiątka z hakiem rysowała mu się na zmęczonej twarzy jak data, którą trudno wywabić. Wszedł w krąg światła.

— Szefie! — Adama zatkało na moment.

— Tak, to ja, Adam.

Przypomniałeś sobie nareszcie. Miałeś wpaść na przyjęcie...

— Przepraszam, tak mi wypadło, że...

Tobie zawsze coś wypada, szefie. Nie ma dnia i nocy, żebyś się nie musiał w coś pakować!

— Naprawdę, przykro mi.

— No wchodź, wchodź dalej.

Major Darewicz rozpiął przesiąknięty już lekko deszczem płaszcz.

Ina, patrz, kto przyszedł — krzyknął Adam w stronę łazienki i zwracając się do Darewicza dodał szybko: —

Rozbieraj się, zaraz będzie szampan.

Na twarzy Darewicza widać było zakłopotanie. Wyjął chusteczkę i wolno zaczął wycierać zroszoną deszczem twarz.

Co, chyba nic się... — Adam stanął przed nim, jego spojrzenie zawisło na ciężkich powiekach tamtego.

Darewicz uniósł wzrok.

Nie chciałbym ci psuć tego dnia — zaczął i urwał nagle widząc w progu pokoju Inkę.

Stała w drzwiach jak w ramie obrazu, usta jej lekko drżały, z ciszy, która nagle zapadła, czytała zdania, których nocny gość chciałby jej zaoszczędzić.

Adam... Mam wyjść? — zapytała cicho.

Darewicz patrzył tępo w okno, w zamazane nocą i deszczem kontury domów, które za nim majaczyły.

— Widzisz, Ineczko, to nie jest... — Adam chciał ją objąć ramieniem.

— To nie jest dla mnie, tak? — odrzuciła jego ramię —

Przerażę się, zemdleję!... Jestem twoją żoną, Adam! Nie wydaje ci się, że mam prawo... że... że ja też... — głos jej się coraz bardziej załamywał, usiłował opanować napierające na oczy łzy — że powinnam spróbować, przyzwycząć się...

Darewicz odwrócił się nagle od okna

— Ma pani rację. To nie pierwsza i nie ostatnia taka wizyta.

W porządku, niech się pani przyzwyczaja. Adam...

— Tak, szefie.

— Przypominasz sobie Zygmunta?

— Morawszczaka?... — Adam spiął się nagle — Zygmunta?...

— Tak — odpowiedział Darewicz — Zygmunta Morawskiego.

Adam poczuł w gardle dziwne dławienie.

Jednym szarpnięciem rozluźnił węzeł ślubnego krawata.

Zegar na peronie podmiejskiej stacyjki wskazuje kwadrans po północy.

Pierwsze, ciężkie i rzadkie jeszcze krople deszczu zabębniły o dach peronowej poczekalni.

— Zbierało się, zbierało, ale wreszcie kapnęło!... — zaśmiał

się kolejarz w zniszczonym, roboczym mundurze jadący zapewne na nocną zmianę.

— Mogłoby i przez całą noc padać — mruknęła starsza kobieta i przytrzymała za rękę wiercącego się niespokojnie na ławce chłopczyka.

. — Ano, niech leje — przytaknął jej jakiś dojeżdżający ze wsi robotnik z trzema bochenkami chleba w siatce. — Przez noc i przez dzień niech leje. Skarż mnie Bóg, jak z ziemniaków co tego roku będzie!...

Odsunięty nieco od nich siedział w poczekalni Michał. Przy jego nogach leżały dwa worki-plecaki, jeden z nich miał

wyraźną dużą łatę z kraciastego materiału. Michał przymknął

powieki, jakby drzemał. Obie dłonie zanurzył głęboko w kieszeniach.

Pierwsze, pojedyncze krople zaczęły się już teraz przeradzać w ulewę. Kolejarz stanął w drzwiach poczekalni, wystawił na zewnątrz obie dłonie, jakby chciał nimi nabrać do pełna deszczu, i z ulgą przytknął je do spoconej twarzy. Od strony peronu rozległo się plaskanie biegnących nóg i do poczekalni wpadł wysoki, chudy milicjant. Mundur, mokry od deszczu, opisał

szczelnie jego ciało nadając całej postaci śmiesznie tyczkowaty wygląd.

Kapral Załęski powinien o piątej nad ranem zakończyć patrolowanie tej części miasteczka, która przylegała do dworca kolejki elektrycznej. Zaskoczyła go ulewa, pomyślał, że przeczeka nasilenie deszczu w peronowej poczekalni.

Strząsnął z czapki wodę, otarł chusteczką twarz.

Przysuwa na całego! — powiedział.

— I chwała Bogu — odezwał się robotnik z bochenkami chleba w siatce. — Ziemia sucha... U mnie, panie, we wsi, to na polu szpary na palec się porobiły. Tak grunt popękał, jakby go na szwach rozdarli...

Ale Załęski już go nie słuchał. Patrzył na Michała. Prawa kieszeń jasnych spodni tamtego, w której trzymał głęboko zanurzoną rękę zaczęła nasiąkać czerwoną plamą.

— Ej, obywatelu... — Załęski założył i poprawił pas z obciążającą go kaburą.

Michał wolno otworzył oczy.

— Co, może chodzi o dowodzik osobisty? — Załęski usłyszał za sobą głos Gocha. — Kolega jeszcze nie posiada.

Legitymację szkolną, to tak! Właśnie wykupiłem mu na nią zniżkowy bilecik.

— Słuchajcie, tylko bez głupich kawałów, rozumiano? —

Załęski szybko odwrócił się do niego.

— Mnie dwa razy nie trzeba powtarzać — Goch uśmiechnął się.

— Ze mnie karny człowiek, panie władzo.

Załęski przesunął bliżej biodra kaburę. Już nie obciążała tak pasa, wydawało mu się, że wygląda teraz poważniej i być może... groźniej.

— Co mu jest? — wskazał na Michała.

— A co ma być? — Goch nie przestawał się uśmiechać —

Skaleczył się chłopak.

— Teraz, po nocy?

—

Upadłem... na rozbitą butelkę — odezwał się Michał. —

Normalnie, jak to po pijaku...

Z daleka słyhać już było dudnienie nadjeżdżającego pociągu.

—

Dokumenty! — Załęski zbliżył się do Michała.

Robotnik, kolejarz, kobieta z chłopczykiem podnieśli się z ławek, wciągając głowy w ramiona wysliznęli się z poczekalni na splukany deszczem peron.

— Dokumenty! — powtórzył Załęski.

—

A co myśmy złego zrobili, żeby zaraz dokumenty? — Goch przepuścił ostatniego z wychodzących. — Spokojnie, panie władzo. Jak to mówią, tylko spokój może nas uratować!...

—

Dobra, przejdziemy na komisariat. — Załęski odpiął kaburę i już chciał wyłuskać z niej pistolet, kiedy w progu poczekalni wyrósł Walendzik.

—

Tylko nie zaczynaj z tą pukawką! — krzyknął.

W ręku trzymał wymierzony w Załuskiego rewolwer.

— Oddaj ją!

—

Słyszałeś, co mówi kolega? — Goch zbliżał się wolno do Załęskiego. — Oddaj tę zabawkę i powiemy sobie grzecznie „do widzenia”.

Łoskot wjeżdżającego na stację pociągu wypełnił ściany poczekalni. Teraz wszystko stało się w jednej sekundzie wtłoczonej jak gdyby w dudnienie toczących się po szynach kół

i świst rozrywanego sznurem wagonów powietrza.

Załęski wyszarpnął pistolet. Padł strzał i Walendzik ze zdumieniem kołującym w oczach zwałił się na podłogę. Drugi strzał padł z boku. Strzelał Michał. Załęski wyprostował się, wspiął niemal na palce, jakby go ktoś uderzył nagle batem po plecach. Z ręki wysunął mu się pistolet, upadł twarzą do ziemi.

Pociąg wyhamował.

Walendzik jęknął, Goch zakrył mu szybko usta dłonią.

Wyczekali ten moment, w którym słyhać było jedynie jed-nostajny szum deszczu.

Pociąg ruszył, światła wagonów omiotły poczekalnię.

— Macnął cię, co?

— A niech go cholera! — Walendzik z wysiłkiem dźwignął się na kolana.

Obie dłonie zacisnął na piersi, koszula w tym miejscu zaczęła szybko nasiąkać krwią.

— Sukinsyn!... — wycedził przez zęby Goch, spojrział na Michała. — Trzeba by gdzieś przeczekać...

— Znam takie jedno miejsce. Niedaleko — Michał zdrową dłonią podniósł z podłogi pistolet Załęskiego. — Zupełnie niedaleko.

Nagle zaśmiał się:

—

Będzie tam nam jak u Pana Boga za piecem! Dosłownie! Dasz radę iść?

Walendzik wstał z trudem, ale zachwiał się zaraz, Michał

musiał go podtrzymać. Goch ruszył nagle do drzwi.

—

Dokąd?

—

W odwiedzinie! — rzucił ze złością Goch i widząc, że Michał nie rozumie,

o co mu chodzi, dodał — Do zawiadowcy stacji, durniu! Chyba nie chciałbyś, żeby tej nocy korzystał z telefonu, co?

Wokół głowy kaprała Załęskiego za czyna wzbierała kałuża krwi. Powinien za cztery i pół godziny zakończyć patrol.

Zakończył wcześniej.

Ramoń uczeplił się kurczowo rękami bufetu.

— Ja mu tylko mówiłem, że pieniądze go zjedzą! Zeżrą jak te szczury!... — krzyczał. — Ale czemu ja miałem zabić?

Ja go za Niemca uratowałem! Ja do niego i anioła posyłałem, izby mu rzekł, że nie tylko to dobro na tej ziemi, co mieni się pieniądzem!... I anioł ze smutkiem po- _ wrócił, i zapłakał wraz ze mną...

— Wyprowadźcie go! — rozkazał zniecierpliwiony Darewicz.

Dwóch funkcjonariuszy wyprowadziło Ramonia za drzwi.

Szamotał się w ich uścisku, nie przestawał krzyczeć:

— Jam nie winien, słuchajcie mnie, jam jedyny nie winien!...

Przez uchylone okiennice przedostaje się do wnętrza knajpy szary, deszczowy świt. Na podłodze, między poprzewracanymi stolikami, trzy narysowane kredą kontury po wyniesionych niedawno ciałach. Spenetrowano dokładnie cały dom, wszelkie ślady zabezpieczone, godzina zgonu trzech ofiar określona.

Obok wyrysowanego na podłodze konturu postaci leżącego męż-

czyzny ułożono rozbity kufel. Ułożono go tuż przy konturze prawej ręki. Wokół poniewierają się zwitki banknotów. Obok bufetu leży wyłamana szuflada z resztką drobnych w środku.

Ekipa śledcza przybyła tu mniej więcej trzy godziny temu.

Adam siedział przy stoliku pod oknem, przemoczony szynel miał narzucony wprost na ślubny garnitur. Patrzył nieruchomo przed siebie. W jego oczach nie tliła się żadna myśl, żaden znak, że stara się jakoś przeniknąć bieg rozegranych tej nocy wypadków. To były puste, prawie nie widzące oczy.

Naprzeciw niego wisiał na poręczy krzesła — tak, jakby człowiek, z którym Adam mógł siedzieć przy stoliku, odszedł gdzieś na chwilę — mundur milicyjny z naszywkami sierżanta na naramiennikach. Mundur Zygmunta. Na jego prawej stronie, w okolicach piersi widniały trzy, jak gdyby wypalone papierosem otwory.

— Dawajcie tego... tego świadka — powiedział do jednego z ekipy Darewicz.

Zerknął na Adama. Domyślał się, co musi w tej chwili odczuwać. Wyjął szybko papierosy, zapalił jednego i wetknął mu w usta.

— Adam... — szepnął możliwie łagodnie, tak jakby chciał go obudzić z letargu.

Adam drgnął, zaciągnął się łąpczywie papierosem raz, drugi, dym przesłonił na chwilę jego skamieniałą twarz.

Wprowadzono Palewskiego.

— Mówcie — Darewicz wskazał mu krzesło. — Tylko teraz już spokojnie, możliwie spokojnie.

Palewski przysiadł na brzegu, potarł dłonią szczecinę zarostu, przeciągnął językiem po suchych wargach. Zerknął w stronę bufetu jakby suszę, którą po wczorajszym pijaństwie miał w sobie, mógł zalać sam jego widok.

— No, to było tak... — zaczął. — Jak Waławski, znaczy restaurator, zamknął, to ja i inni, niby znajomi, zaczęliśmy po- malutku wychodzić... Przez podwórze. Waławski zamknął od frontu, a tu został ten... znaczy Ramoń tu został... Cholera by go, wariata...

— Dobra, dobra! — przerwał Darewicz. — Co dalej?

Ale Palewski już się rozgorączkował:

— Wszyscy słyszeli, jak się odgrażał!... Że niby co? Że niby wariackie papiery miał? Lepszy cwaniak! On tu nikogo na wariackie papiery nie nabierze. Niby że za Niemca trupy grzebał, że za posługacza był od grzebania przy Gestapo w Jaworkach?... I od tego mu się we łbie pomieszało, tak?,... Pic na wodę! Bandyta!...

— Dosyć!

—

Przepraszam, panie władzo, ale we mnie to aż się skręca...

— No więc wyszliście...

— Tak jest, wyszliśmy.

— Przez podwórze.

—

Mówiłem, że przez podwórze. Od frontu już zamknął.

Pożegnałem się ze znajomkami i idę... — Palewski znów spojrzął

na bufet, korciło go, żeby z beczki utoczyć trochę piwa. — Do domu mam kawałek. Uszedłem, ja wiem — z dwieście, trzysta metrów... Wolno szedłem, nie śpieszyło mi się, duchota była jak cholera... I wtedy te strzały.

— Ile?

— Że co?

— Ile strzałów pan usłyszał?

—

Czy ja wiem?... — Palewski stropił się nieco. — Cztery albo pięć... Nie liczyłem przecież. Kto by miał głowę liczyć.

To było już kawałek od knajpy.

Palewski urwał i zmarszczył czoło jakby chciał sobie dokładnie przypomnieć ilość strzałów.

—

W porządku. Co dalej? — przerwał ten daremny trud Darewicz.

—

Puściłem się pędem z powrotem. I na podwórzu, bo jak mówiłem, od frontu było już zamknięte, na podwórzu złapałem Ramonia. Wyciągnął do mnie spluwę i... i chciał wygarnąć! Ale już nic nie miał... Wszystko w nich, sukinsyn, władował!

Palewski uderzył pięścią w stół.

—

Wiedział, że to wy? Ciemno było przecież.

— Po głosie mógł poznać. Krzychałem.

Darewicz spojrzął na Adama. Zauważył kątem oka, że od pewnego czasu przysłuchiwał się zeznaniom Palewskiego, a na jego twarzy znów zaczęło się rysować czujne, dobrze mu znane napięcie.

—

Słuchajcie, Palewski, te strzały tak od razu padły, jednocześnie? — Darewicz przysunął się do niego bliżej. —

Przypomnijcie sobie dobrze! Trzeba nieźle strzelać, żeby czterema, a właściwie pięcioma kulami od razu troje ludzi...

—
Zaraz! — Palewski znów zmarszczył z wysiłkiem czoło. —

Tak, no tak! Ten strzał na końcu to jakby trochę później...

— Piąty?

—
Co, piąty?

— Piąty wystrzał.

—
Tak mówiłem, że piąty?

—
Mówiliście, że było cztery albo pięć wystrzałów —
powiedział dobitnie Darewicz. — Cztery odpadają. Do ofiar oddano pięć strzałów.

—
Zaraz, zaraz... Momencik — Palewski znów spojrzał tęsknie w stronę bufetu i nagle jakby go olśniło: — Sześć! Było sześć!

—
Sześć?

—
Ten na końcu, ten, co to trochę później się rozległ, to był szósty!

— Jesteście pewni?

— Niech skonam! Jakbym teraz słyszał!...

Darewicz wyjął z kieszeni owinięty w chusteczkę pistolet typu „waiter”.

—
Ten pistolet wyrwaliście Ramoniowi z rąk? — zapytał. —

Pytam jeszcze raz, bo może znowu się okazać tak jak z tymi strzałami...

—
Ten sam, panie władzo kochany! Klnę się na Boga!...

—
To stara broń. Skąd mógł ją mieć?

—
No mówiłem przecież, że on jako posługacz od trupów przy Gestapo...

—
To już wiemy — Darewicz schował z powrotem „waltera” do kieszeni. — W porządku, dziękuję wam na razie.

Palewski chciał już odejść, kiedy Darewicz rzucił jeszcze raz okiem po sali i coś przemknęło mu przez głowę:

—
Sekundę! Powiedzcie mi, przy których stolikach siedzieliście wy i wasi znajomi, zanim wyszliście?

Palewski wskazał dwa przewrócone stoliki na środku:

— Tu i chyba... tu.

Darewicz podszedł do stolika w głębi sali. Stały jeszcze na nim trzy kufle piwa, talerze z resztkami zakąsek, kieliszki, opróżniona butelka.

— Tu nikt nie siedział? — zapytał.

— Ano właśnie! Siedzieli! — Palewski stuknął się dłonią w czoło. — Trzech, nietutejszych chyba...

— Nietutejszych?

— Ja tam ich nie znałem.

— Przypomnijcie sobie, bo coś mi się ta wasza pamięć zaczyna nie podobać.

— Panie władzo, pan rozumie, jak człowiek potężnie zabuzuje... — Palewski pstryknął palcem w grdykę. — A jeszcze, jakżem zobaczył tę krew i tych nieboszczyków!... O, dla przykładu, zupełnie wyleciało mi z głowy, że ja się tu jeszcze przedtem wróciłem!

— Kiedy?

— Zaraz po wyjściu. Chciałem jeszcze doprawić i wróciłem się. Tych trzech nietutejszych gawędziło z Waclawskim, znaczy z restauratorem... O rany! — Palewski złapał się nagle za głowę. — To przecież ten wariat krzyczał, jak go złapałem...

Wrzeszczał tak po swojemu: „Trzech przyszło! Trzech z piekła rodem!” Zaraz, momencik... I co on tam jeszcze dalej? Aha!...

„I sprawiedliwych, i niesprawiedliwych ogniem porazili!” I potem coś w ten deseń... „Boże Wszehmogący, Panie na NiebiesiechL.” I wtedy, kiedy do mnie mierzył, to jeszcze ścierwo wołał „Zlituj się, panie, zlituj się!...” Coś w tym rodzaju wrzeszczał. Darł się na całe gardło.

Palewski skończył i jak gdyby wyczerpany odegraniem tej sceny opadł na krzesło. Znów wzrok jego powędrował w stronę bufetu.

— Jedno mu trzeba przyznać: na piwie nie oszukiwał — powiedział cicho.

W dwie godziny docierają do miejsca, które miał na myśli Michał. Idą spulchnionymi ulewą polami, zanurzają się w nie zżętych jeszcze zbożu. Walendzika trzeba przez większą część drogi prawie

nieść. Mocno krwawi, jest cały lepki od krwi. Deszcz pod uderzeniami wczesnego słońca zaczyna już wyparowywać z ziemi.

Po pustym o tej porze i niewielkim, wiejskim kościełku niósł

się dźwięk organów. Proboszcz miejscowej parafii, Stanisław Nałęcz, człowiek o posiekanej zmarszczkami twarzy i łagodnych, niebieskich oczach, wyciskał z klawiatury dźwięki fugi Jana Sebastiana Bacha. Pełne majestatu frazy zdawały się jak upływający czas osiadać na podniszczonych freskach kościoła i niczym popiół Osypywać twarze świętych figur.

W pewnym momencie proboszcz usłyszał skrzypnięcie schodów prowadzących na chór. Ktoś, jakby wiedziony muzyką, wspinał się ciężko do góry.

Proboszcz oderwał ręce od klawiatury. W drzwiach błysnęła zlana potem twarz Michała. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa.

— Wróciłeś — odezwał się wreszcie proboszcz i ułożywszy palce na klawiaturze zaczął znowu bardzo cicho grać. —

Widzisz, nic się nie zmieniło. Ciągle nie mogę spać. Więc jednak wróciłeś... — dodał po dłuższej pauzie.

Nacisnął mocniej klawisze, od muzyki zadrgało w powietrzu.

Wtedy przebijając się przez fale dźwięków Michał krzyknął:

— Ksiądz musi mi pomóc!

Muzyka urwała się nagle, fuga jak gdyby zastygła w połowie lotu.

— Po co... po co wróciłeś?

— Po co wróciłem? — Michał zaśmiał się cicho. — Może zatęskniłem do tych stron! . A może dlatego, żeby zobaczyć księdza w zdrowiu, w spokoju...

— I na co te kpiny, Michał?

— A jeśli wróciłem, bo mam dla księdza niespodziankę?

Kaprała Załęskiego znajdują ludzie śpieszący na pierwszy poranny pociąg. Ktoś zawiadamia milicję, Załęskiego przenoszą do dyżurki zawiadowcy stacji. Jemu też trzeba udzielić pierwszej pomocy. Leży nieprzytomny na podłodze, tył

głowy znaczy ciemny, zastygły strup krwi. Urządzenia telefoniczne są rozbite, aparaty potrzaskane.

Załęskiego ułożono na polowym łóżku zawiadowcy. Żył jeszcze, choć oznaki życia były więcej niż nikłe.

Lekarz pogotowia spojrział na zegarek, dochodziła szósta.

— Wyciekło z niego tej krwi, że nie daj Panie Boże —

powiedział i nagle zwrócił się ze złością do zawiadowcy stacji, który z obandażowaną głową pomagał

A.naprawiać jakiemuś monterowi rozbite urządzenie. — Do jasnej cholery, czy wyście nie mogli wcześniej...

— Wcześniej? Co wcześniej?... — krzyknął zawiadowca i zaraz skrzywił się z bólu. — Mówiłem już, że anim się spostrzegł, kiedy w łeb dostałem. A to było zaraz po tym, jak ostatni pociąg ruszył. Nawet strzałów nie słyszałem, bo w tym jazgocie co usłyszysz?...

— Nie wychodził pan na peron, żeby przyjąć pociąg?

— Moja wina, zdrzemnąłem się odrobinę.

W otwartych drzwiach dyżurki, w pulsującym już ciepłym świetle poranka stał młody milicjant. Lekarz mimowolnie spotkał się z jego pytającym wzrokiem.

— Nie wiem... Nie wiem, czy wytrzyma — pochylił się nad Załęskim. — Rana nie jest aż taka groźna, ale... Tyle krwi, tyle krwi!...

Szczupła, blada twarz Załęskiego jak szrama wciniała się w szare obicie łóżka.

Lekarz zaczął przygotowywać kolejny zastrzyk.

Adam nie ruszał się ze swojego miejsca przy stoliku pod oknem. Splótł dłonie w ciasny, nabrzmiaty żyłami węzeł i uderzał nimi rytmicznie o blat. Przed nim ciągle jeszcze wisiał na krześle mundur Zygmunta. Zostali sami, on i Darewicz. Ten przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem.

Zapominał się ustawicznie i w ostatniej chwili wymijał wyrysowane na podłodze kontury, na które nie chciał nastąpić.

Milczeli od dłuższego czasu.

— Dzieci?... — Darewicz usłyszał nagle zduszony głos Adama.

— Co z dziećmi Zygmunta?

— Zaopiekowano się już nimi — wygrzebał z paczki ostatniego papierosa. — Ile ma ten najmniejszy?

— Cztery, czy pięć... Wiedzą?

— Nie, jeszcze nic.

— To na co czekasz? — Adam uderzył nagle ściśniętą grudą pięści w stół.

Darewicza też już zaczynały opuszczać nerwy:

— Co, mam pójść i powiedzieć dzieciakom prosto w oczy: Słuchajcie, dzieci, słuchajcie dobrze, dzisiejszej nocy waszego ojca i waszą matkę...

Opanował się z trudem.

— Przepraszam — szepnął.

I znów zaczęło się między nimi milczenie. Darewicz stanął w oknie i odetchnął głęboko świeżym, nasyconym jeszcze wilgocią powietrzem.

— Weźmiesz tę... tę sprawę? — zapytał nie patrząc na Adama.

— Sprawę? — Adam uśmiechnął się boleśnie.

Darewicz rozgniół papierosa o parapet.

— Wiem, wiem, Adam, ile cię to musi kosztować! Ale właśnie dlatego!... Tak, właśnie dlatego!...

Zapamiętaj — dla nas to jest tylko i wyłącznie sprawa! Nie akt zemsty, nie porachunek!...

Adam zerwał się od stolika, teraz on zaczął się tłuc od ściany do ściany.

— Sprawa! — powtórzył to słowo jeszcze parę razy, potem zatrzymał się przed majorem. — Urodziliśmy się na tej samej ulicy! Kumple od... od wspólnego babrania się w piasku... Od pierwszego

podrywania dziewcząt! Razem do szkoły, razem do milicji. On nie dał sobie rady z tą sprawą przemytników, a ja... Ja dobry, mnie się wszystko udawało! Mnie do Komendy, awanse — a jak! A Zygmunt ledwo sobie sierżanta wyskrobał w tej dziurze. I tu go...

Urwał, jakby mu nagle zakneblowano usta.

— Uspokój się — powiedział twardo Darewicz.

W odpowiedzi Adam zaśmiał się niemal histerycznie:

— Mam ślubny prezent, co?... Śmierć przyjaciela!

I raptem przyklęknął przy kredowym konturze postaci, która przy wyrysowanej ręce miała ułożony rozbity kufel. Przyklęknął

tak, jakby leżał przed nim człowiek, martwy człowiek.

— Zygmunt... — zaczął ściśniętym głosem. — Przysięgam ci...

Przysięgam ci, że tego, kóry cię... który ciebie... Spod ziemi go wydostanę, przysięgam!

Zakrył dłońmi twarz.

— Poruczniku Płoński! — krzyknął Darewicz.

Adam nie poruszył się nawet, trwał w tej samej pozycji. Po chwili Darewicz delikatnie położył mu dłoń na ramieniu.

— Adam... Adam... Tak nie można — powiedział takim głosem, jakby chciał opanować własne wzruszenie. — Wybacz, ale... Nie jestem już pewien, czy możesz wziąć tę sprawę.

Adam wolno podnosił się z klęczek. Oderwał dłonie od twarzy,

był na niej siłą maskowany spokój.

— Czy ty naprawdę tak mało mnie znasz? — spojrzał

Darewiczowi prosto w oczy.

Teraz on stanął w oknie i zachłysnął się porannym powietrzem. Kiedy odwrócił się po chwili, twarz miał już naprawdę spokojną i opanowaną.

— Pokaż tego „waltera”.

Darewicz podał mu owinięty w chusteczkę pistolet.

— Rzadka teraz broń, co? — Adam jak gdyby odmierzał w dłoni ciężar pistoletu. — Do tego w rękach pomyleńca. Tak...

Podejrzany pomylenieć. Podejrzani: „trzej z piekła rodem”!

Jednym słowem — metafizyka!

— Z tego „waltera” strzelano.

— Właśnie: z tego!

— I niech to nas sprowadzi na ziemię.

Kiedy sanitariusze przynosili kaprala Załęskiego na nosze, otworzył nagle oczy. Jego zamglony wzrok z każdą sekundą olbrzymim wysiłkiem woli wyostrzał się. Więcej, spróbował poruszyć ustami jakby gwałtownie chciał zakrzusić się powietrzem, rozedrzeć nim płuca.

— Panie doktorze!... — zawiadowca pierwszy to zauważył.

— Co jest?

— On jakby chciał coś...

— Nic nie powie — uciął lekarz. — Kula naruszyła struny głosowe. Szybciej!

Sanitariusze chwycili za nosze.

Blade dłonie proboszcza leżą nieruchomo na klawiaturze, jakby za chwilę miały się stopić z jej bielą.

Gocha i Walendzika zdążył Michał ukryć w szopie z narzędziami ogrodniczymi. Teraz pozostała mu rzecz najważ-

niejsza — zmusić proboszcza do milczenia, postawić go w sytuacji współnika, który musi dopomóc w przetrwaniu...

—

Mój Boże, jaką ty jeszcze możesz mieć dla mnie

„niespodziankę”, Michał!... — proboszcz smutno pokiwał głową.

Michał wyszedł z cienia, w którym majaczyła dotąd jego postać. Przewinął chusteczką pokrzwawioną rękę. Proboszcz dopiero teraz to zauważył.

— Co z twoją ręką? Ależ to straszne skaleczenie! Biłeś się?...

Michał wzruszył ramionami.

— Można to i tak nazwać. Widzi ksiądz, ktoś chciał mi z tej ręki wytrącić pewien drobiazg. Miałem pecha — zrobił to stłuczonym kuflem.

— A więc znowu! — palce proboszcza mimowolnie uderzyły w klawisze. — Ja nie chcę o niczym słyszeć!

— O nie! Ksiądz wszystkiego wysłucha! — Michał miał teraz wykrzywioną ironicznie twarz. — Przecież nie odmówi mi ksiądz pomocy...

— Co się z tobą stało?! Co się z tobą dzieje?!...

— Błagam, proszę tylko nie zaczynać swoich kazań! — Michał

wyrzwał przez nieduże okienko i zlustrował wzrokiem podwórko plebanii. — Tak, ksiądz dużo dla mnie zrobił. Ksiądz mnie wychował po śmierci kochanych rodziców, pomógł mi nawet skończyć szkołę!

Zaśmiał się, jakby wspomnienie tamtych lat sprawiało mu naprawdę przyjemność.

— A potem, potem zaofiarował mi ksiądz posadkę bożą!...

Dobłą, godziwą posadkę kościelną. I zbierałem datki na tacę, i ci, co je rzucali, patrzyli na mnie... Ale jak patrzyli!

Nawet ksiądz nie mógł im zmienić tych spojrzeń.

Przysiadł na kamiennym występie muru. Był wyraźnie osłabiony, krople potu jak drobne kamyki toczyły mu się po czole. Zamyślił się przez chwilę...

— Więc ukradłem! — ciągnął dalej. — Ukradłem tę wielką kwotę po odpuście św. Ignacego. Musiałem. To było we mnie silniejsze od wiary.

Znowu się zaśmiał.

— Okradłem Pana Boga!

Proboszcz poruszył się niespokojnie.

— Nie, proszę księdza, nie! Okradłem tylko tych zacnych mieszkańców naszej pobożnej, cichej

okolicy!... A wie ksiądz, dlaczego? Bo byłem dla nich, jestem i pozostanę synem złodzieja i pijaczki. Niczym więcej. No to potem były następne kradzieże, rabunki... Wyrok jeden, drugi... I poduczanie się w więzieniu. Zaczynałem być coraz lepszy. Coraz lepszy w robieniu tego, co ksiądz po swojemu, „bogobojnie” nazwałby złem! I to był mój rewanż — za wszystko!

Ostatnie zdanie wyrzucił z siebie jednym tchem, jakby się bał, że to, co mówi, może za chwilę przestać być ważne zarówno dla niego, jak i dla proboszcza.

Dłonie proboszcza podpełzły teraz nieme ku rzędowi czarnych klawiszy.

— Jest w tobie tyle żółci, Michał — głos proboszcza lekko drżał. — I tyle nieprawdy! Nienawidzisz ludzi...

— Nie! Siebie nienawidzę, siebie, że muszę między nimi żyć.

— Nie mów tak! Nie wolno ci! — proboszcz zerwał się z miejsca. — Przynajmniej do mnie tak nie mów!...

— Kiedy ja chcę z księdzem rozmawiać, ja muszę z księdzem rozmawiać.

I... i ksiądz musi mi pomóc.

—* Pomóc?...

Proboszcz opadł z powrotem na zydel przy organach.

— Proszę o spowiedź — powiedział cicho Michał.

— Nie, nie!... Nie teraz! — proboszcz znowu wstał raptownie.

— Przyjdź jutro... To zbyt wiele jak na jedną noc!

— Teraz! — krzyknął Michał.

Tamten nacisnął gwałtownie klawisze.

Z organów wyrwały się pierwsze takty bachowskiej „Toccaty”.

Dźwięk odbił się

o sklepienie kościółka i powrócił jak fala spokoju.

— Słucham... Słucham cię... synu — szepnął proboszcz.

Nie przestawał grać. W miarę jak słuchał słów Michała, jego palce coraz wolniej, coraz niedołęzniej dotykały klawiatury.

Wreszcie zastygły, dłonie zwarły się nagle w pięści jakby objęte zostały nagle płomieniem...

Michał zakończył swoją „spowiedź”. Widząc przerażenie proboszcza, dodał:

— Księdzu nie wolno... Ksiądz już jest moim współnikiem, trudno i darmo! Ksiądz wybrał sobie taki... zawód. Zawód współnika w każdej ludzkiej winie. Nie mamy czasu, proszę księdza. Chodźmy!... Oni czekają. Jeden kumpel, gdzie stąpnie, farbuje wszystko na czerwono. Musi porządnie odpocząć.

Po chwili dorzucił:

—Wszyscy musimy odpocząć.

Radio podaje godzinę dziewiątą, kiedy Adam po nie przespanej nocy wpada na chwilę do domu. Niewiele słów pada między nim a Inką. Zamienia szybko ślubny garnitur na mundur i udaje się do Komendy. Dyżurny oficer przekazuje mu kartkę, na której koślawe, chyboczące litery składają się na tekst następującej treści:

' „Trzech...worek...kra...ci...” Wszystko.

Adam, trąc zaczerwienione oczy, od godziny już próbował

domyślić się tych paru liter, których brakiem jak dziurami ziało to zagadkowe zdanie.

Kiedy do pokoju wszedł Darewicz Adam bez słowa podał mu kartkę.

— Z pogotowia? — spytał Darewicz obracając w rękę papier. —

Kapral Załęski?...

— Tak jest, z pogotowia. Nie może mówić, kula naruszyła struny głosowe. Żądał ołówka i kartki.

Zaraz potem stracił

przytomność. To, co zdołał, naniósł na papier. Rozumiesz coś z tego?

— Trzech... — Darewicz zamyślił się — No cóż... Może chodzi o to, że było ich trzech.

— Tyle, to i ja jestem mądry.

— Ale „worek” i to „kra...ci...”? Cholera!

— Trzeba czekać, aż Załęski dojdzie do siebie.

—

Jeśli dojdzie — Darewicz położył kartkę na biurku. —

Wiadomo już może, z jakiej broni do niego strzelano?

— Kaliber 7,65.

— „Walter”?

— Właśnie, znowu „waiter” . .

W tym momencie do pokoju wszedł podoficer i położył przed Adamem tekturową teczkę.

—

Z laboratorium — zameldował i wyszedł.

Adam otworzył teczkę.

—

Masz wyniki analizy — powiedział — Z podłogi poczekalni pobrano krew. No i są... dwie grupy krwi. Jedna zgadza się z grupą kaprała Załęskiego, druga...

—

Musiał jednego z nich postrzelić. — Darewicz pochylił się nad wynikami. — Jeśli tak, to daleko nie uciekli.

— Nie wiadomo.

— Nie rozumiem.

—

Nie wiadomo, czy Załęski zdążył w ogóle wyciągnąć broń, a co dopiero któregoś trafić! — Adam przeszedł kilka kroków po pokoju, nagle rzucił. — To mógł być również kufel!

— Jak to: kufel?

— Proste! Kiedy znaleźliśmy Zygmunta, ścisnął w rękę rozbity kufel.

— I co z tego?

,

—

Tym kuflem zaatakował morderców! Był w tym momencie bezbronny, a więc...

—

Nie musiał ‘ — poprawił go Darewicz. — Założmy, że był.

—

W porządku, założmy. Zaatakował i musiał zranić jednego z nich. Patrz tutaj...

Adam wyjął z teczki jakiś arkusz papieru i podał go Darewiczowi.

—

Zbadano krew, która zaschła na rozbitym kuflu — wyjaśniał

dalej. — Grupa krwi z kufla zgadza się z grupą krwi pobranej z podłogi poczekalni. Więc Załęski niekoniecznie musiał któregoś z nich trafić. Mógł to zrobić Zygmunt kuflem...

— Czekaj, czekaj! — przerwał Darewicz. — Ale jak to: Zygmunt kuflem?...

— Trzy lata temu mieliśmy już z Zygmuntem taką sytuację.

Byliśmy jeszcze podchorążaki, przepustka, niedziela, mało-miasteczkowa zabawa, rozumiesz. Obsko- czyli nas — czterech czy pięciu... Nie pamiętam. Byliśmy bez niczego, żaden z nas kawałka scyzoryka nawet nie miał w kieszeni, a trzeba było się bronić. Ale wtedy wystarczyło tylko stłuc kufel i trzymać go w rękę, żeby odstepili. Stosowało się takie same chwyt, jakie stosowali bandziory. Kto tam wtedy uczył

chwytów!...

Darewicz mimowolnie uśmiechnął się za plecami Adama.

— To tak musiało wyglądać, nie ma cudów! — kończył Adam. —

Zygmunt ich...

— Zaraz, zaraz!... Mówisz — „ich”. Nie mamy przecież żadnej pewności, że ci, którzy strzelali do Załęskiego, tych „trzech”

— jeśli się trzymać kartki — dokonało przedtem mordu w restauracji. Ta krew na kuflu i krew z poczekalni o niczym jeszcze nie świadczy. Mnóstwo ludzi ma podobne grupy krwi. A w takim razie co z tym obłąkanym? Wykluczamy go z kręgu podejrzanych?

— Psiakrew! — Adam podrapał się z zakłopotaniem po głowie. —

Ten rzekomo obłąkany najbardziej mi w tym wszystkim nie pasuje.

— Dlaczego: „rzekomo”?

— A diabli go tam wiedzą!

— Rozmawiałeś już z nim?

— Jeszcze nie.

Darewicz zaczął pogwizdywać jakąś bezładną melodię. Nagle zapytał:

— Myślisz, że te zabójstwa w restauracji to tylko mord na tle rabunkowym?

— Nie wiem. — Adam rozłożył bezradnie ręce. — Sprawdziłem kartoteki tych, do których zamknięcia Zygmunt mógł się przyczynić...

— Dużo ich było?

— Paru. Jedni albo jeszcze siedzą, inni... Inni stali się podobno uczciwymi ludźmi. Przeprowadzamy wywiad. Nie wiem...

Mord rabunkowy i... i przypadek? Albo... Może nam się wymknął

ktoś z kartoteki, może Zygmuntovi wymknął się ktoś, kto przypadkowo... Nie mam pojęcia! Wiesz dobrze, ilu draniom udało się wymknąć — między innymi z kartoteki!

Po południu Adam kontaktuje się telefonicznie z Inką i prosi, żeby nie czekała na niego z obiadem — jest zmuszony dłużej pozostać w Komendzie. W parę minut potem do pokoju Adama doprowadzony zostaje Ramoń. Darewicz nie jest obecny przy tym przesłuchaniu. Uznaje, że Adam, który dotąd nie rozmawiał jeszcze z Ramoniem, ma więcej szans na wyduszenie od niego jakichś konkretnych zeznań. Zjawi się w godzinę potem, kiedy Adam otepiał już nieco, a przede wszystkim przemęczony, mozolnie przeżuwa przyniesioną z bufetu kanapkę.

Darewicz, zanim zdążył jeszcze za sobą zamknąć drzwi, już w progu zapytał:

— I co? Powiedział coś?

Adam z ustami pełnymi jedzenia zacytował słowa Ramonia:

— „Ugryzł mi kogucika. Zagryzł go na śmierć. Mój kogucik już nie wyżyje.”

— Co takiego? — Darewicz patrzył na niego jak na wariata.

— No nie patrz tak na mnie! Masz!...

Szarpnął szufladą biurka i wyjął z niej Ramoniowego kogucika z odgryzionym ogonem.

— Chłopczy znaleźli to w jego paltocie. Trzeba mieć zęby, nie?

— Zęby?...

Darewicz zaczął nerwowo obracać w rękach glinianą zabawkę.

Przez moment mogło się zdawać, że zaświtała mu nagle w głowie jakaś myśl.

Wrzucił kogucika do szuflady.

— Czy to jedyny efekt przesłuchania? — zapytał nie bez ironii.

— Przesłuchania!... — prychnął Adam.

—

Mogę ci je odtworzyć, słowo po słowie, klatka po klatce mogę ci puścić ten film!...

I zaczął. A Darewiczowi istotnie zaczęło się wydawać, że rozwieszono nagle przed jego oczami ekran, na którym zaczęły się pojawiać czarno-białe, prześwietlone słońcem popołudnia kadry

"

Ramoń wchodzi do pokoju Adama. Siada po drugiej stronie biurka. Głowa spuszczone, cała sylwetka jakby zawężona w sobie.

Ramoń (mamrocze):

—

Ugryzł mi kogucika. Zagryzł go na śmierć. Mój kogucik już nie wyżyje.

Adam (ukrywa zniecierpliwienie, prawie łagodnie):

—

Nie martw się, wyleczymy twojego kogucika. Ale powiedz mi, tak między nami, dlaczego ich zabiłeś? Co ci zrobili?

Ramoń kuli się na krześle, zaczyna płakać.

Ramoń:

—

Mój anioł zesłał mi kryjówkę!...

Adam (ostro):

—

Z pistoletu, który ci zabrał Palewski, strzelano!

Sprawdziliśmy!

Ramoń (po chwili):

—

Raz.

Adam:

—

Co: „raz”?

Po oczach Adama widać, że ta nagle „konkretna” odpowiedź zastanowiła go.

Adam:

—

Słuchaj, słuchaj, człowieku!... Ja wiem, że można mieć nie po kolei w głowie! To jest twoje... twoje „życiowe” prawo...

Ramoń (przerywa, znów z płaczem):

— Ja się bałem! Oni przyszli... On...

Adam:

—

Sekundę! Co to znaczy „raz”?... I co to znaczy „oni”,

„on”?...

Ramoń:

—

Ja znalazłem to narzędzie śmierci, ja... Raz, dwa, trzy, pięć!... To moje uszy ogłuszyło. A potem... Potem, kiedy uciekli, to i ja wybiegłem... (raptem zaczyna mówić zupełnie normalnie).

Wybiegłem wołać ludzi. Uniosłem ręce do góry. Ja nie pamiętałem, nie mogłem pamiętać, że trzymam w ręku pistolet.

Wzniosłem ręce do góry i wtedy to wystrzeliło. A ja jakbym wcale tego nie czuł. I potem chciałem dalej, dalej wystrzelać, żeby jak dzwon na trwogę... Ale nic, to strzeliło tylko raz! Raz! Zacisnąłem palec aż do krwi, aż do krwi na spuście...

Adam (znów zdumiony konkretnym terminem):

— Spuście?

Ramoń wyciąga przed siebie rozwartą dłoń — wskazujący palec naznaczony jest niewielką raną.

Ramoń (nagle):

— Ja nie jestem wariat, ludzie! Ludzie, dajcie mi spokój!

Ja... ja... Pogrzeby! Ciągłe pogrzeby! Dlaczego? Grzebałem innych, musiałem!... Musiałem! I... i mnie... pogrzebano!...

Zrywa się z krzesła, zaczyna miotać po pokoju. Adam nie reaguje. Ramoń znajduje się w pewnym momencie przy oknie, oknie wypełnionym światłem. I to światło go zatrzymuje, uspokaja. Zachowuje się tak, jakby zapomniał, że przebywa w tym, a nie innym miejscu. Idzie do drzwi, otwiera je, chce wyjść.

Adam:

— Wróć! Siadaj!...

Ramoń przysiada posłusznie na krzesło. Jednocześnie Adam zamykając otwarte przez niego drzwi mówi coś do kogoś, kto znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu. Potem wraca za biurko.

Adam:

— Pan... (pauza). Ty nie masz nikogo z bliskich?

Ramoń:

— Nie wiem.

Adam:

— Widziałeś to... to wszystko?

Ramoń:

— Widziałem.

Adam:

—

To był mój przyjaciel...

Ramoń:

—

Widziałem przez szparę, widziałem... Tak, widziałem mój lęk! Lęk!... Strach!...

Adam:

—

Uspokój się i posłuchaj. Szóstej kuli, tej twojej, którąś niby na alarm wystrzelił, nie znaleziono.

Ramoń:

—

Poszła...

Adam:

—

Co, co „poszła”?!...

Ramoń:

—

Panu Bogu... w serce poszła... (pauza). Chyba... (pauza).

Chyba.

Pukanie do drzwi, Adam otwiera. Młody podoficer wręcza mu dwie butelki piwa. Adam rozlewa je do szklanek. Ramoń chwyta łąpczywie swoją szklankę.

Ramoń:

—

Wiesz co?... Ty... ty... Ja rzadko spotykam takich ludzi, (pauza). Wiesz, ja już się nie boję!

W tym momencie, jak gdyby przerażony własnymi słowami, zrywa się z krze-, sła i rzuca do drzwi.

Ramoń (krzyczy):

—

Zagryzł!... Zagryzł kogucika!...

Adam daje znak, żeby go odprowadzić.

—

tu nastąpiło wyciemnienie ostatniego kadru relacji Adama.

—

No i widzisz, jak żeśmy sobie „serdecznie” porozmawiali!

Kazałem go odprowadzić, nic bym już z niego nie wycisnął.

Darewicz, idący własnym tropem, jakby nie zwracał uwagi, co mówi teraz jego podkomendny.

—

Zresztą, zastanówmy się — ciągnął Adam. — Ramoń poniekąd może mówić prawdę. Ekspertyza wykazała, że z jego „waltera” istotnie padł tylko jeden strzał. Jeden! Tamte pięć musiało być oddanych z innego „waltera”. I kto wie czy nie z tego, którym raniono kaprala Załęskiego!...

— Tak, tak, to możliwe... — powiedział w roztargnieniu Darewicz, po chwili dodał: — Ciągłe myślę o tym: „Zagryzł mi kogucika”... Zagryzł, ugryzł? Więc mówisz, że tak krzyczał.

Udaje pomyłonego, czy jest nim naprawdę?

— Teraz to ja już zupełnie nie wiem. Wiem tylko, że się boi... Że się czegoś wyraźnie boi. I posłuchaj, odniosłem wra-

żenie, że bardziej boi się tego czegoś, co ma jakiś związek z odgryzionym ogonem glinianego kogucika, niż...

—...niż tego, że został posądzony o morderstwo — dokończył Darewicz.

— Może należałoby pogrzebać w jego przeszłości.

— Właśnie o tym myślałem.

— Może ten lęk ma długie korzenie, a wariactwo jest maską, ochroną przed nim... Nie mam pojęcia!

— Poddamy go badaniom. Albo lepiej spróbujemy go przesłuchać w obecności psychiatry..

Darewicz ruszył do drzwi. Nagle stanął jak wryty:

— Czekaaj, czekaaj!... Nie, to chyba niemożliwe!

— Co znowu?

— Przecież Stimmler popełnił samobójstwo, zanim... — myślał

głośno major. — Zaraz, zaraz, moment!... Ramoń jako posługacz zmarłych przy Gestapo w Jaworkach?... Przecież szefem tego Gestapo był Stimmler!

Rzucił się do drzwi, jakby się bał, że wymknie mu się ciąg skojarzeń, które wywołała gliniana zabawka.

—Czekaj, gdzie pędzisz?

— Muszę coś sprawdzić. — Darewicz był wyraźnie podniecony. —

Bądź wieczorem w domu, być może jeszcze dzisiaj do ciebie wpadnę.

Kiedy wyszedł, wzrok Adama odruchowo padł na kartkę, gdzie koślawe, rozchybotane litery składały się na tekst:

„Trzech.. .worek.. .kra.. .ci”

Z zewnątrz nic nie zdradza, że ten wieczór na plebanii księdza Nałęcza jest odmienny od poprzednich.

Niebo jeszcze było widne, wysokie, zapowiadające następny upalny dzień, ale w okienkach plebanii już mżyło światło naftowych lamp. Proboszcz siedział przy stole pokrytym idealnie białym obrusem, w pokoju, którego ściany obwieszane były oleodrukami o tematyce sakralnej, a obok nich sąsiadowały z sobą przeróżne myśliwskie trofea.

Proboszcz przekłada właśnie kartkę rozłożonej przed sobą książki, czyni to jednak w roztargnieniu, tak jakby nie był

całkowicie pochłonięty lekturą, jakby wędrujące przez oczy rzędkie liter miały zadeptać wzrastający natłok myśli i wątpliwości.

W sąsiednim pokoju cicho gra radio, wychodzi stamtąd Goch.

Proboszcz zdaje się nie słyszeć skrzypienia wyszorowanej do białości podłogi. Goch trzyma w rękach myśliwski sztucer. Ma już przed sobą plecy proboszcza i jego pochyloną nad książką głowę. Unosi sztucer jak do strzału, palec delikatnie muska spust. Lufa znajduje się o kilka centymetrów od karku proboszcza...

— Co ksiądz czyta?

Proboszcz drgnął na dźwięk tego głosu i odwrócił się błyskawicznie. Zobaczył przed sobą ciemne otwory lufy sztucera. Goch, z sadystycznym niemal upodobaniem, trzymał ją ciągle na wysokości jego głowy.

— On wam umrze — powiedział spokojnie proboszcz i ruchem głowy wskazał drzwi sąsiedniego pokoju. — Tu potrzebny jest lekarz. Trzeba go niezwłocznie do szpitala...

— Zapolujmy. — Goch nie opuścił ani o centymetr niżej lufy. — Zapolujmy na tego lekarza.

W drzwiach od drugiego pokoju pojawił się Michał. Widzi całą sytuację, cisnęła mu się w oczy jak uderzenie odgiętej gałęzi. Rzuca się na Gocha, próbuje chwycić za lufę sztucera.

Goch łatwo się wyrwał. Michał jest zmuszony działać tylko jedną ręką, druga, obandażowana jak biała kukła zwisa mu u boku.

—

Żartuję, ty idioto — zarechotał Goch. — Żartuję!...

—

Gdyby nie te twoje cholerne żarty...

—

Zamknij mordę!

Z twarzy Gocha momentalnie spełził śmiech, zacisnęły się szczęki.

—

Ja cię kiedyś zabiję — wycedził. — Ja cię kiedyś po prostu pięknie i cicho zabiję.

—
Zrób to — Michał patrzył na niego z nienawiścią. — Zrób to szybko. Tak będzie lepiej. Dla ciebie i dla mnie.

I wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie na granicy utraty przytomności gorączkował Walendzik. Goch patrzył na plecy znikającego za drzwiami Michała, na ustach pojawił mu się dziwny, skurczony uśmiezek, jakby całe draństwo, które w nim było, przecedzał właśnie przez wargi.

Proboszcz postanowił wyjść.

—
Dokąd? — zastąpił mu drogę Goch.

—
Chciałbym... chciałbym trochę pograć... Widzi pan, ja...

Ja nie mogę spać, ja już od kilku lat nie umiem, tak, nie umiem spać...

—
Coś takiego! Ciekawe!

—
Może to dlatego, że... — proboszcz widział jeszcze ten skurczony uśmiezek na ustach Gocha. — To pewnie stąd... Na pierwszej wojnie byłem ranny, odłamkiem... w głowę...

—
Ja bym mógł księdza nauczyć spać. Mocno spać. Bezpłatne korepetycje!... — Goch położył na stole sztucer. — Przypomniało mi się, że ksiądz ccś mówił o lekarzu.

— Jest. Nasz miejscowy...

—
Drogo bierze?

— Ja... ja zapłacę.

—
Za milczenie drogo bierze?

Proboszcz nie odpowiedział, wyminął

Gocha i otworzył drzwi na ganek. Był

już na podwórku plebanii, kiedy dogonił go głos Gocha:

— Gdzie mieszka?

Zawrócił.

— Chodzi panu o lekarza?

—
Choremu kumplowi trzeba pomóc, nie?

—
Może lepiej ja pójde, znam dobrze doktora. Razem polujemy.

To... to dobry człowiek.

Goch chwycił proboszcza za sutannę na piersiach, przyciągnął go do siebie.

—
Ksiądz o niczym nie wie! — słowa jak żwir przeciskały mu się przez gardło. — Ksiądz w tym czasie grał. Normalnie, jak co wieczór, jak co noc — grał! A na plebanii nikogo nie było.

Ksiądz nie zauważył, żeby ktoś odwiedzał jego plebanię.

Rozluźnił dłoń.

—
Chyba tak to zrobimy, co? — zapytał. — No więc gdzie mieszka ten...

— To taka willa...

— Ach, willa!?

—
Jeszcze nie otynkowana, na samym skraju wsi...

I czując rozluźniający się uchwyt dłoni Gocha, odstał o krok, zszedł z ganku i skierował się w stronę pograżającego się w letnim mroku kościółka.

—
Ksiądz będzie pamiętał o naszej umowie — zawołał za nim Goch.

—
Chyba tak — proboszcz nie odwracał się.

—
Jak to „chyba”?

—
Na pewno, na pewno będę pamiętał. Muszę.

Goch wrócił do pokoju.

Chwilę jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał. Rozejrzał

się dokładnie po pokoju i jego spojrzenie zatrzymało się na wieszaku, na którym dyndał myśliwski kapelusik. Przymierzył

go, zsunął „na bakier”, wbił na czoło. Tę maskaradę dyktował

mu jakiś pomysł. Jego idea błysnęła w oczach i natychmiast zapadła

się pod ciemny, kontrastujący z siwizną włosów, łuk brwi.

Złamał sztucer — obie komory były puste. Podszedł do szafy, która tarasowała wnękę pokoju, otworzył jej drzwi. Zobaczył

jeszcze jedną sutannę, dwa zniszczone cywilne ubrania. Schylił

się i wysunął dolną szufladę. Znalazł tu kilka starych książek, jakieś zeszyty, zszywki

przedwojennych tygodników.

Przewrócił to wszystko do góry nogami i nagle z samego brzegu wyłoniły się dwa pudełka naboje. Jedno z nich było otwarte...

I w tym momencie doszły do niego, stłumione odległością i murami kościoła, dźwięki „Toccaty”.

Uderzyły gwałtowne, nieoczekiwane. Ta muzyka jakby go poraziła. Trwało to tylko chwilę. Zaraz

potem zaczął ją przyjmować jak rzecz, której się słucha z przyjemnością, i uśmiech powoli rozkurczył spięte mięśnie jego twarzy.

— Fałszuje ojczonek — szepnął do siebie. — O, choćby ta nuta!...

I sięgnął po naboje z otwartego pudełka. Załadował obie komory proboszczowego sztucera.

Inka po powrocie z biura spróbowała jakoś przy pomocy koleżanki zmienić tymczasowość ich

pokoju w możliwie normalne, nadające się do zamieszkania wewnątrz. Przed wszystkim tapczan

przesunięty został do ściany, a umieszczona przy nim nocna lampka, gdy ją się zapaliło, stwarzała

mylące wrażenie przytulności. Zniknęły walizki, pojawiły się natomiast w oknach zasłony. Parkiet

wprawdzie jeszcze nie bił w oczy idealnym połyskiem, ale zamieciony i „okraszony” małym dywanikiem dawał

się już jako tako znieść. Ściany jedynie, na których najbardziej chyba odcisnęły się lata

zamieszkania poprzednich lokatorów, raziły łuszczącą się farbą, bledszym od cieniem po zdjętych

oleodrukach i gdzieniegdzie ukazującą nagi mur wyrwą. Ale Inka miała na to parę pomysłów. Przed

wszystkim akwarele, które odziedziczyła po ojcu — niedzielnym malarzu — a także parę zwojów tapet, które udało jej się zdobyć. Postanowili, że generalnie zabiorą się do urządzania tego wspólnego „gniazdka” na jesieni.

Adam wraca z Komendy o godzinie ósmej wieczorem. Odmieniony pokój nie robi na nim żadnego wrażenia. Wali się na tapczan, próbuje zasnąć. Nic z tego nie wychodzi. Zaciśnięte mocno powieki nie powstrzymują napierających na mózg wizji, domysłów, obrazów...

— Nie, nie, Inuś! — krzyknął Adam, kiedy zapędzony do przyozdabiania ścian, zamiast wbić w ścianę młotkiem gwóźdź, uderzył się nim w palec. — Uwierz mi, ja się naprawdę do tego nie nadaję!

Inka cisnęła na tapczan oprawioną w cienkie ramy akwarelę.

— Mieć chłopą w domu i wołać dozorcę, kiedy trzeba głupi gwóźdź wbić w ścianę?!...

— Daj mi spokój! — Adam rzucił młotkiem o podłogę i wyszedł do kuchni.

Poszła za nim.

— O co ci chodzi? — zapytała spokojnie.

— O nic!

Stał przy nagim jeszcze, nie osłoniętym firanką oknie i patrzył na osuwający się po ścianach domów zmierzch.

— Przepraszam — rzucił po chwili czując, że Inka stoi za jego plecami. — Naprawdę przepraszam...

Jak niespodziewane uderzenie wiatru uderzył go znowu ten obraz sprzed kilku godzin, kiedy zobaczył na usłanej bank-notami podłodze trzy skulone w śmiertelnym bólu ciała.

Inka, jakby osłabła, oparła się o ścianę.

— Adam... Ja wiem... — zaczęła. — Wiem, że jest to dla ciebie...

Odwrócił się od okna.

— Przepraszam. Przecież powiedziałem, że przepraszam!...

Przylgnęła twarzą do ściany, usłyszał jej płacz.

— Po co, po co brałeś ze mną ślub?...

— Nic nie rozumiesz! To jest moja... moja osobista sprawa!

— Przed ślubem to samo mówiłeś! Każda sprawa była dla ciebie jedyną, ostateczną...

— Przyrzekłem, że znajdę tych... — chciał zakląć. — Ta sprawa to jest zupełnie coś innego! Czy ty rozumiesz, kim był

Zygmunt?!

— Niedługo wszystkie sprawy będą twoimi osobistymi sprawami! Będą całym twoim życiem! Na co ja ci jestem po-trzebna? Moje sprawy, moja praca, moje studia?... Uczyłam się całymi nocami, a ty nie raczyłeś nawet zapytać, jak mi poszło na egzaminie!...

— Dobrze już Inuś, dobrze... — objął ją ramieniem. — Jestem zmęczony.

Przylgnęła do niego całym rozdygotanym od płaczu ciałem.

— Adam, zastanów się, przecież tak dalej nie można!

— Wiem, że nie można. Naprawdę wiem o tym, kochanie.

Poczuł nagle, że wszystko go ściska: mundur, pasek przy spodniach, buty... Jakby go zatrzaśnięto w kilku napierających na niego ścianach. Zdarł z siebie mundur i nie rozsznurowując nawet butów zrzucił je ze stóp, rozluźnił pasek. Zaczął szukać rannych pantofli w szafce, w przedpokoju.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie są moje kapcie?

Po chwili Inka podała mu małą, opakowaną w szary papier paczkę. Adam przedarł się przez opakowanie i zobaczył nowe ranne pantofle.

— Tamte ci już z nóg spadały, ty... domowy elegancie —

wyjaśniła Inka.

— Kochana jesteś, Inuś!...

Przymierzył pantofle, pasowały jak ulał. Przeszedł się w nich parę razy po pokoju. Uśmiechnęli się do siebie. Ta drobna rzecz jakby przekreśliła naraz wszystko to, co dotąd między nimi zaszło.

— Fajne! A jakie piękne!... — wykrzykiwał Adam. — No nie, nie mam sumienia nosić ich na co dzień!... Inuś, wiesz co? Te kapciuszki będę nosić od święta! Powiedzmy, 1 maja, 22 lipca i tak dalej!... Daj mi te stare!...

— Sprzedałam.

— Sprzedałaś?

— Poważnie.

— Niemożliwe.

— Słowo honoru! — Inka usiadła na tapczanie obok Adama. — Za pięćdziesiąt złotych sprzedałam.

— Inuś, przecież ty cały majątek roztrwoniłaś — roześmiał się Adam.

— To było strasznie zabawne — zaczęła tłumaczyć. — Dzwonek do drzwi. Pytam „kto”. „Zbieracz” — ktoś mówi — „ja ze spółdzielni „Zbieracz”... Ale tak jakoś śmiesznie to powiedział... Otworzyłam. Patrzę — starszy gość, buźka taka więcej przepita, w oczkach mętno. Okazuje się, że jest

„przedstawicielem” spółdzielni „Zbieracz”, która skupuje stare, nie nadające się już do użytku rzeczy. Ponieważ jedyną rzeczą, która już naprawdę do niczego się nie nadawała, były twoje kapcie, więc... Sprzedałam. Wypłacił pięćdziesiąt złotych, kapcie wrzucił do worka... Wszystko.

Wybuchnęli oboje śmiechem.

— Narzędzia pracy miał tylko liche — kończyła Inka krztusząc się jeszcze ze śmiechu.

— Narzędzia?

— No tak, to, czym pracował.

— Nie rozumiem.

— Worek. Zbieracz musi w coś zbierać. Ten jego worek był

wyłatany jakimś kraciastym materiałem, jakby kocem, czy ja wiem... Pomyślałam sobie od razu, że na własną rękę zbiera przedstawiciel rze-kornej spółdzielni „Zbieracz”!... Patrz, nawet się zrymowało!

—

Cholera! Ten... ten „Zbieracz”?...

Adam rzucił się do przedpokoju, gdzie powiesił był kurtkę mundurową.

—

Przestań, bo zaraz wyjdzie nam poemat!

Już nie słyszał jej słów. Wyrwał z kieszeni munduru kartkę, której tekst przewiercał mu głowę przez tyle godzin.

„Trzech...worek...kra...ci...”. Wpatrywał się teraz w tę kartkę, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Tak, to mogło być to...

Wpadł do pokoju, objął w pół Inkę, uniósł ją do góry i zakręcił się z nią jak w walcu.

—

Czyś ty oszalał?... — krzyknęła.

—
Inuś!... W tych moich nowych kapciach... Ja w ogóle nie będę w nich chodził! Oprawię je w ramki, niech wiszą na ścianie!...

—
Słowo daję, zwariował!

—
Mam, jasny gwint, mam! — upuścił Inkę na tapczan.

— Adam!...

W tym momencie rozległ się u drzwi dzwonek.

—
Cześć, stary!... — wykrzyknął Adam widząc Darewicza. —

Czego się napijesz?... Kawy?

—
Kawy?... — Major jeszcze nie mógł pojąć jego euforii. — O

tak, chętnie... Chętnie napiję się kawy.

—
I coś jeszcze?...

—
Co z tobą, Adam? — Darewicz podejrzliwie zaczął patrzeć na swojego porucznika. — Pokłóciliście się czy co?...

—
Koniak! Należy nam się koniak!...

—
Stać cię? — uśmiechnął się słabo Darewicz.

—
Mam! Szefie, mam! — Adam niemal wepchnął go do pokoju. —

Inuś, kawa i... i wyciągnij ten nasz stary zapas!

Usadził Darewicza w starym, wybrzuszonym sprężynami fotelu.

—
Mam! — powtórzył.

—
Zdaje się, że mamy obydwaj — powiedział spokojnie Darewicz.

Adam momentalnie ochłonął.

— Mów.

—
Najpierw ty — Darewicz zaczął rozglądać się za popielniczką.

-Ja?

-Ty!

—
Ja... kapcie mam! — Adam wyrzucił jeden z pantofli w górę

— Nowe, nowiu - sieńkie!

—
Słucham? — Darewicz poderwał się z fotela.

Zmierzch wżera się już wyraźnie w jakby opadające ku ziemi niebo. Zaraz nastąpi mrok, z którego tylko w zamazanych konturach można będzie wyławiać sylwetki ludzi, drzew, domów.

Na plebanii wygaszono lampy. Okienka jak puste oczodoły nasiąkają ciemnością. Jedyne światełko, które drga pośród wieczoru, to świeca rozjaśniająca klawiaturę organów.

Od dwóch godzin ks. Nałęcz tłumił w sobie przerażenie muzyką.

O tej godzinie Goch wrócił na plebanie.

Wszedł ostrożnie, cicho, miał jeszcze na głowie przekrzywiony myśliwski kapelusik. Powiesił proboszczowy sztucer na haku wbitym w ścianę, usiadł przy stole, zapalił zgaszoną lampę.

Przerzucił brudnymi palcami kilka kartek książki, którą czytał proboszcz. Brudne palce, brudne ręce... Nie zdążył jeszcze ich umyć. Od początku, kiedy tu przyszedł, był zajęty śledzeniem tej jedynej możliwości, która dałaby szansę jemu, gmatwając jednocześnie los innych.

Nie zauważył, kiedy w drzwiach sąsiedniego pokoju pokazał się Michał trzymając uniesioną wysoko w górę lampę.

Dźwięki organów, jakby wzmocnione zapadającym mrokiem i ciszą, uderzyły o okienka plebanii.

—
Gdzieś był? — zapytał Michał.

— Zgaś!...

— Wychodziłeś?

— Zgaś, mówię!... — syknął Goch.

— Po coś wychodził, ty... — Michał, jak niedoświadczony szczeniak, postawił na stole lampę i dopiero potem sięgnął po pistolet Załęskiego, który obciągał mu kieszeń.

Goch był szybszy.

Michał zobaczył nagle dwa, wypełnione lśniąca ciemnością, otwory lufy.

Jest po północy.

Adam chwilami zapomina, czy to jego prywatne mieszkanie, czy służbowy pokój w Komendzie. Mówią ciągle o jednym i tym samym, Darewicz i on. Inka siedzi na tapczanie, patrzy na nich tak, jakby patrzyła na parę dogadujących się ze sobą wariatów. W

butelce koniaku kołaczą się na dnie jakieś resztki, filiżanki z kawą pięknie poznaczone czernią fusów.

Inka zerknęła na zegarek. Istotnie, kwadrans po północy.

— Nie, nie, nie wmówisz mi tego! — oponował Adam lekko już zachwiany w pewności tego, co mówi. — Przecież to się w głowie nie mieści!... Naprawdę jesteś pewien?...

— Synu...

— Ojczy... Wal, dobij mnie.

— Nie dobiję, żebyś jutro, baranie, miał otwarty łeb —

powiedział Darewicz i przycisnął do ust kieliszek ze szczątkami koniaku na dnie. — Słuchaj!... Stimmler, gestapo Jaworki. Wyciągnąłem akta, zeznania uwięzionych... Stimmler!

Specjalista od gryzienia szklanek, butelek, talerzy... To był jego popis numer jeden!

Darewicz spojrział na Inkę, która w tym momencie serwowała im następną kawę. Usiadła na brzegu tapczanu, Darewicz postanowił nie oszczędzać jej niczego.

— Wchodził do celi — ciągnął zasta nawiając się, czy jednak powinien to mówić przy Ince — przynosił ze sobą pół litra i szklanki. Drzwi do celi były otwarte — czterech sukinsynów, przepraszam pani Ino, stało w nich z rozpylaczami. Herr Stimmler- odbijał pół litra, nalewał

więźniom do szklanek. Nie było zakąski. Herr Stimmler prosił, bardzo prosił, żeby wypić. Sam też pił, do dna i zakąszał...

szklanką! Więźniowie mieli, powinni, zakąszać tym samym, co on. Szklankami, z których zmuszono ich pić. Próbowali... Herr Stimmler, człowiek

o specjalnym darze zębów i krtani, nie mógł wtedy zrozumieć, dlaczego on może zakąsić szklanką, a reszta tych polskich świni, nie!... Bardzo się wtedy gniewał, bardzo...

—: Jezus Maria! — Inka zakryła twarz.

— Nie powinna tego słuchać — wydobył z siebie Adam.

— To prawda — powiedział Darewicz. — Nikt, nikt nie powinien tego słuchać...

Inka wybiegła do kuchni.

— „Kogucik, gliniany kogucik!”,.. Darewicz zaciągnął się mocno papierosem — „Oni przyszli, trzech z piekła rodem...” I tak dalej! Z piekła rodem był tam tylko jeden. I Ramoń go rozpoznał. Po czterech latach spotkał... spotkał swój lęk. To, co mu nakazało postępować tak, a nie inaczej. Udawał wariata, schował się w wariactwie... W pewnym momencie musiał się zatracić — zatarła się granica między udawaniem, a...

— Ale przecież Stimmler popełnił samobójstwo! To jest stwierdzone...

— Popełnił! — uciął Darewicz — Popełnił, ale jeszcze jedno... zabójstwo! Na zmarłym, na już zmarłym!...

— Nie, nie, to wszystko brzmi jak potworna opowieść...

— Nie brzmi, jest!

— Nie mogę sobie wyobrazić...

—Spróbuj!

— Cholera, chyba za dużo wypilem!..

— Powtarzam, Adam, powtarzam — major ścisnął Adama za rękę.

— Ja dzisiaj jeszcze raz przesłuchiwałem Ramonia! I był przy tym psychiatra. Postanowiliśmy zagrać va banque. Wymieniłem nazwisko Stimmler, Gestapo Jaworki. Reakcja Ramonia — taka, jak się spodziewałem. Potem ten cały „zagryziony kogucik” —

reakcja identyczna. Później wkroczył do akcji lekarz. To był

niemal koncert, koncert terapii. Ramoń zaczął mówić... M ó- w i ł!

I teraz Adamowi, już po raz drugi, relacja Darewicza zaczęła się przesuwać przed oczami jak film, klatka po klatce, zdanie po zdaniu

Twarz Ramonia zroszona potem, wyniszczona... Ale jednocześnie jest to oblicze człowieka, który jakby obudził

się przed chwilą z głębokiego letargu.

Ramoń:

— Oni... oni się jeszcze bronili, bo już nie mieli wyjścia, żadnego wyjścia.' Jaworki okrążone przez Ruskich, Ruskie dochodziły już do rynku... A Stimmler... Stimmler kazał mi palić w piecu papiery, akta i różne ich druki. Potem kazał mi iść za sobą do piwnicy. Tam było trzech... Trzech, co ich nie zdążyłem pochować. Wybrał jednego. Takiego na swoją miarę, z ciemnymi włosami... Kazał mi wynieść go na górę, do kancelarii... I rozebrać. Sam też zaczął zdejmować mundur. A potem krzyknął, żeby ubrać tamtego, tego nieboszczyka, w swój mundur i ja to zrobiłem. A sam założył jego ubranie.

I kiedy tamten był już ubrany w mundur, strzelił mu w nieżywe usta... I z twarzy zrobiła się... Tylko włosy, włosy zostały takie jakie były — ciemne. A ja jeszcze musiałem uczesać te włosy tak, jak Stimmler był uczesany, z przedziałkiem... O

Boże! (jego ciałem wstrząsają dreszcze, po chwili opanowuje się, mówi dalej coraz cichszym głosem). Teraz, jak go zobaczyłem, to on siwy, siwiutki jak gołąbek... Jakiś fryzjer go pewnie tak przemienił... A w ogóle wtedy to on mało się pokazywał, po okolicy samochodem jeździł, z samochodu nie wysiadał. A ci z Polaków, co z nim rozmawiali, to... Oni już nikomu nie opowiedzą, jak wyglądał.

A kiedy ja już uczesałem włosy tego nieboszczyka, to Stimmler zaśmiał się i powiedział, że odtąd jestem jego współnikiem. Schował pistolet i kazał wyprowadzić wózek... Ja miałem taki wózek, na nim wywoziłem zmarłych... No i on położył się na tym wózku i...i znieruchomiał. Strzelanina była już coraz bliżej... Nie, nie pamiętam już, jak zacząłem uciekać... A on tam leżał na tym wózku nieruchomy...

Ramoniowi głos grzęźnie w krtani. Darewicz patrzy na niego uważnie. Sprawia to takie wrażenie, jakby rewidował dokładnie, zmarszczka po zmarszczce, tę zniszczoną, stanowiącą jedno wielkie zmęczenie, twarz.

Darewicz:

— Interesuje mnie jeszcze jedno. Czy to... tamto sfingowane samobójstwo, czy to był jedyny powód, dla którego — proszę mi wybaczyć — udawał pan wariata?

Ramoń (nie przychodzi to łatwo, po dłuższej pauzie):

— Nie. On chciał mieć zabezpieczenie, żebym ja się nie wygadał. Dał mi do podpisu taki papier, na którym było, że ja donoszę... że taki a taki współpracuje z partyzantami. Groził, że zabije, musiałem podpisać. Schował ten papier i powiedział, że teraz jestem całkiem w jego rękach, że kiedy zechce, to ten papier wam wyśle.

— przed oczami Adama zanikał ostatni kadr relacji majora, kiedy do pokoju wróciła Inka.

— Zdaje się, że może wam się jeszcze przydać — powiedziała stawiając na stoliku butelkę wina.
— Adam, tylko to już koniec, żelazny zapas. Więcej nic nie mam.

—
To co, trzaśniemy? — zapytał Adam odkorkowując butelkę.

—
Trudno!...—zaśmiał się Darewicz.— Ale zaraz bierzemy się do tego „Zbieracza”. Może i nam. uda się coś... zebrać.

Wypili.

—
Powiedz mi, jak to możliwe, jak to jest możliwe!... — zaczął po chwili Adam.

—
Posłuchaj... tak naprawdę to bardzo mało jest rzeczy niemożliwych.

—
Psychopatyczne bydlę! Po prostu psychopatyczne bydlę!...

—
Obsesja mordu. Jeśli jest okazja do zbrodni, gotów jest wszystkim ryzykować. Nawet własnym bezpieczeństwem.

—
Spojrzeć takiemu w oczy...

—
Spojrzeć takiemu na rękę.

Przez dłuższy moment panowało milczenie.

— Jeszcze po jednym?

—

Lej! — Darewicz zapalił nowego papierosa — Chociaż twoja pani gotowa pomyśleć, że niezbyt świetnym służę ci przykładem...

— Ależ, panie majorze...

—

Szefie, szefie...

—

Że cię rozpijam i... i w ogóle. Ale chodzi po prostu o to, że od czasu do czasu trzeba mieć trochę luzu w mózgu. Tak, Adam, tak... Dzień w dzień, noc w noc to samo — ta niewiadoma!... Psiakrew, śni ci się to wszystko po nocach —

jesz śniadanie i przypatrujesz się bułce; a nuż z tej bułki, z tego masła, z tej wędliny coś wyniknie!...

—

Żona ci kupuje nowe kapcie i nagle... — Adam uniósł do góry swój kieliszek.

— Właśnie! I tak w kółko!

—

Niezły zawód!...

— Niech go szlag — jedyny!

Odstawili próżne kieliszki.

Ksiądz Nałęcz usłyszał strzały, oderwał dłonie od klawiatury, rzucił się pędem w stronę plebanii.

Lampa stoi na stole, w jej chwiejnym blasku widzi rozciągnięte na podłodze, obramowane krwią, ciało Michała. W

prawej dłoni, jakby umyślnie włożony, pistolet. W odległości metra od zwłok leży sztucer.

Drzwi do sąsiedniego pokoju są półotwarte. Obandażowaną pierś Walendzika znaczy poszarpany, świeży jeszcze otwór.

— Boże! — szepnął proboszcz.

— Proszę księdza!... Proszę księdza!... — krzyczał ktoś z zewnątrz.

Proboszcz wybiegł na ganek.

— Proszę księdza!... Doktora zabili!... — krzyczał biegnący przez podwórko człowiek. — Niech ksiądz idzie! On jeszcze dycha, jeszcze dycha... Chce się spowiadać... Niech ksiądz bierze sakramenta, szybko!... Szybko!

— To ty, Antosiak? — zapytał Nałęcz jasnym, opanowanym nagle głosem.

— Ja, proszę księdza, ja!... — odezwał się tamten. Wracalem do doinu, przechodziłem obok willi doktora... Coś mnie tknęło i...

Twarz Antosiaka tonęła w mroku. Proboszcz nie widział jego rozognionych oczu, zobaczył je dopiero wtedy, kiedy tamten wspiął się na ganek i, jak gdyby chcąc przynaglić Nałęcza, stanął w smudze światła padającej z pokoju.

On tam już ledwo, ledwo... — wykrzyknął Antosiak dysząc jeszcze po biegu. — Szybko, proszę księdza, szybko!...

I jakby potrzebne do tej ostatniej spowiedzi sakramenta znajdowały się na plebanii, chciał przekroczyć oświetlony lampą jej próg.

Proboszcz zastąpił mu drogę.

Nazajutrz, godzina dziewiąta rano.

Na biurku przed Adamem dwie karty personalne. Przy każdej fotografia. Zdję

cie Michała nieco niewyraźne, jakby sprzed paru lat, robione w tzw. pięć minut. Wizerunek twarzy Walendzika jest dużo solidniejszy, można przypuszczać, że przy zdejmowaniu oblicze jego było odpowiednio oświetlone i lepszy aparat rejestrował

te nabrzmiałe otyłością rysy.

Kiedy Darewicz wszedł do pokoju, Adam bez słowa wskazał mu obie karty.

— „Zbieracz”? — zapytał major.

— Tak jest, Spółdzielnia „Zbieracz”.

— Szybko się uwinąłeś.

— Staram się, szefie.

— Karty Stimmlera nie ma...

— Stimmlera?

— Słusznie. — Darewicz rzucił na biurko karty. — Zdaje się, że pod tym nazwiskiem długo byśmy go szukali!...

— Tej jego karty nie ma i nie będzie. Nie jest taki głupi, żeby się gdziekolwiek rejestrować. Wszedł z nimi w prywatną, że tak powiem, spółkę. Ten cały „Zbieracz” potrzebny im jest jako coś w rodzaju... paszportu. Mogą bez podejrzeń włóczyć się po całym kraju, przerzucać z miejsca na miejsce.

— Istotnie, to możliwe.

— Ta spółdzielnia... — Adam uśmiechnął się — ma swoją „dyrekcję” w Jarząbkach.

Darewicz znów wpatrzył się w rozłożone na biurku karty.

Długo niemal przewiercał spojrzeniem każde zdjęcie i dane o obu osobnikach wypisane w odpowiednich rubrykach.

Adam mówił dalej:

— Chłopcy z komisariatu w Jarząbkach byli tam już o piątej rano. Dyrektora, czy jak mu tam, kierownika wyciągnęli z łóżka. Tak jest, potwierdził, spółdzielnia wrysyła w teren swoich ludzi. Chodzą, jeżdżą, zbierają. Najczęściej stare niepotrzebne rzeczy. Czasem zdarza się coś wartościowego. Tą swoją „działalnością” obejmują prawie cały kraj. Chłopcy pojechali z tym kierownikiem do bazy.

Sprawdzili, kto nie wrócił. Jest dwóch. Worki?... Wszystko się zgadza — mają w tej spółdzielni około stu takich „emisariuszy szmat”. Worki, plecaki — to wszystko się niszczy, wszystko trzeba łątać. Krata, coś kraciastego?... Jest! Mieli kilka starych koców, łątali tym te swoje worki. A teraz posłuchaj...

Adam zrobił efektowną pauzę.

— No!... — zniecierpliwił się Darewicz.

— Spokojnie, szefie, zaraz nam kubek wody spadnie na głowę.

Ten cały ich kierownik powiedział, że oni takich łątanych worków-plecaków mają wśród swoich zbieraczy co najmniej trzydzieści. To wszystko, szefie, tak zwana zafajdana oszczędność. Łata się stare worki, żeby zaoszczędzić na kupnie nowych, a z kolei w magazynach gniją nabytki... tych „workarzy”. Ale to już osobny rozdział działalności spółdzielni

„Zbieracz”...

— Moment! Powiedziałaś, że około trzydziestu facetów posługuje się tymi łątanymi workami, więc dlaczego akurat tych dwóch?...

— Nie wrócili do bazy, a terminy się zgadzają. Byli w tym czasie w terenie. Kazałem wezwać Ramonia, jeśli ich rozpozna, to...

Na biurku zaterkotał telefon. Adam sięgnął po słuchawkę. W miarę przyjmowania napływających przez aparat wiadomości twarz coraz bardziej mu się zmieniała.

— Tak... Tak... Dziękuję — prawie wcisnął słuchawkę w widełki telefonu.

— Co jest?

— Jest — Adam zagryzł wargi — w Łanowicach czwarty trup.

Miejscowy lekarz.

Darewicz szarpnął drzwiami sąsiedniego pomieszczenia.

— Staniewski! — krzyknął.

Zza biurka poderwał się podoficer

— Ogłosić alarm na cały powiat!

— Tak jest, obywatelu majorze!

Major zatrzasnął drzwi, złamał dwie zapalki chcąc zapalić papierosa.

— Pierwsze rozpoznanie? — zapytał.

— A co oni mogą tam w tych Łanowicach sami...

— 7,65, co? — przerwał Darewicz. — Powtarza nam się kaliberek?

— O nie, szefie! Życie byłoby zbyt piękne. — Adam wyciągnął z szuflady „tetetkę”. — Tym razem sztucer, myśliwski sztucer.

— Coraz weselej!...

— Fakt! — Adam spojrzał w okno. — Chociaż dzisiaj przynajmniej nie pada. Grzeje, grzeje na potęgę.

— Oby nam nie przygrzało, Adam, oby nam za bardzo nie przygrzało!...

— Jedziemy, szefie?

— Nie — warknął Darewicz. — Idziemy na dansing.

Kiedy wsiadają do gazika, dochodzi dziesiąta. Potrzebują półtorej godziny na przebycie drogi do Łanowic. Wczorajszy deszcz nie zdołał rozmiękczyć skutych suszą dróg. Przed południem powinni wejść w gąszcz następnej zbrodni.

— Pracował za trzech, obywatelu majorze — tłumaczył kapral Zięba, komendant posterunku w Łanowicach. — Chciał tę swoją willę skończyć. Żona z dziećmi nad morze wyjechała, a on...

Tyrał, chłopisko! Zresztą, wie obywatel major, jak to jest...

Przebąkiwali, że go zdradzała... Mógł się chłop załamać, czy ja wiem zresztą!

Południe. Ostre słońce wpada do pokoju, który nie jest jeszcze kompletnie umeblowany, a w rzeczywistości sprawia wrażenie raczej nie zagospodarowanego. Na surowych deskach podłogi ludzki kształt przykryty kocem. Spod koca wystają stopy. Prawa goła, lewa obuta. Obok stoi oparty o ścianę sztucer, taki sam jak księdza Nałęczka.

—

Kto był tu przed wami? — zapytał Adam.

—

Ludzie — kapral Zięba wzruszył ramionami.

Był bezradny, śmierć lekarza nasuwała mu tylko jedno wytłumaczenie, jedną motywację...

—

Jak to „ludzie”? — nie ustępował Adam.

—

No... na przykład Antosiak Józef. — Zięba poprawił czapkę na głowie.

— Antosiak, Józef, tak?

—
No tak. On był pierwszy, a potem reszta... Zwalili się tutaj całą kupą. A ten cholemik Antosiak zamiast do mnie naj-pierw, to do proboszcza taki syn poleciał, żeby sakramenta szykował!...

— Sprawdziliście, co zniknęło?

—
Co miało zniknąć? — Zięba znów poprawił na głowie czapkę i wygładził fałdy munduru. — Strzelił sobie w łeb,, to co miało, zniknąć? Zresztą mówią, że on wszystko w złoto pakował!... A gdzie on to złoto mógł trzymać, to już tajemnica jego i tego, co je gwizdnął... Przepraszam, obywatelu poruczniku —

zrabował!

—
Dajcie tego Antosiaka — rozkazał Darewicz.

Kapral Zięba zasalutował gorliwie i nad wyraz prawidłowo, po czym wyszedł z pokoju.

Adam i major spojrzeli po sobie. Jakby na komendę przysiedli na upstrzonych zaschniętą już farbą taboretach. Chwilę panowało między nimi milczenie...

— Samobójstwo?

— Samobójstwo?

Wpadli sobie jednocześnie w słowo,

—
Lufa w usta, duży palec prawej stopy na spust... — Adam odwrócił wzrok od wystającej spod koca, gołej stopy ofiary, —

Klasyczne, co?

— I?... — zaczepił Darewicz.

— I czaszka rozsadzona.

— Odciski...

—
Byli przedtem ludzie. Na odciski nie mamy co liczyć.

—
Masz rację, synek.

—
Szefie, ktoś nas tu chce potężnie załatwić!

—
Czyli?...

—
Nie wierzę, żeby to było samobójstwo. Czuję, że tu nam się znów kłania kaliber 7, 65!

Adam włożył rękawiczki i sięgnął po sztucer. Złamał go, obie komory były puste. Wciągnął w nozdrza swąd dobywający się z obu komór.

. — Z obu — powiedział. — Obie były w „użyciu”.

—
Jeżeli, to załatwił siebie z jednej. — Darewicz wziął do rąk sztucer. — Gdzie druga? W kim jest drugi nabój?

—
Dlaczego z jednej?

—
Nie jestem pewien, ale... — Darewicz podszedł do zwłok i zerwał z głowy zabitego koc.

Adam skrzywił się, odwrócił spojrzenie

—
Zresztą, poczekamy — major zakrył z powrotem zmasakrowaną twarz.— Poczekamy na analizę.
Adam kopnął nagle stojący mu na drodze taboret.

—
Zdaje się, że ktoś tu chce być większym kozakiem od nas!...

—
Pasmotrim, uwidim! — rzucił Darewicz i jak zwykle, szukając papierosa, zgniótł pustą już paczkę.
Wszedł Zięba, wprowadził Antosiaka. Był to chudy, średniego wzrostu mężczyzna, któremu oczy zdawały się jak krople wody osiadać na nieco „mongolskich” policzkach.

—
Byliście tu pierwsi? — zapytał ostro Adam.

—
Przechodziłem i...

—
Nazwisko?

— Antosiak, Józef...

—
Człowieku, byłeś tu pierwszy. — Adam podszedł do niego bliżej. — Dlaczego byłeś tu p i e r w s z y?

Antosiak potarł niespokojnie spoconymi dłońmi o uda,

—
Ja... ja... — zaczął — mieszkam tu niedaleko, Doktor ten swój dom malował i tynkował sam.. Miał głowę do wszystkiego. Patrząc, a tu się pali światło. Chciałem wejść, pogadać, niby po sąsiedzku... Od tygodnia łamie mnie w krzyżu... To tak sobie myślę, że wejdę zagadam, a po drodze dowiem się może, jak to jest z tym łamaniem... Jak ja do niego tak po sąsiedzku, to chyba za po-radę nic nie weźmie... Wchodzę, no i...

— Co?

—
Żył jeszcze. — Antosiakowi te jego oczy zdawały się już niemal wypływać na policzki, — „Ksiądz” wykrztusił...

Pobiegłem w te pędy. Ksiądz nadszedł ale... ale...

—
Po diabła ksiądz mu był potrzebny, kiedy popełnił samobójstwo? — natarł Adam. — Wierzący był?

—
A tak, tak!... Nawet baldachim nosił i chorągwie! Pierwszy do tego!...

— Miał jakiś powód, żeby się zabić?

—
Czy ja wiem?... — w tym momencie Antosiak pozwolił sobie na chwilę odprężenia. — Albo on tu źle zarabiał? Ludzie coś tam bąkali, że żona. że tego.. Ale jak to ludzie —

zazdroszczą! Chłop tyrał za trzech, zarabiał — jego sprawa!..., Ale żeby miał sobie sam. w łeb?...

Nie, chyba nie!

— Nie!

To krzyknął ksiądz Nałęcz. Stał w progu trzymał w ręku sztucer.
Za jego plecami młody milicjant bezradnie zamachał rękami:

—
Obywatelu majorze, nie chciałem wpuścić, ale... To proboszcz!... Ja...ja przepraszam...
Proboszcz stanął nad przykrytym kocem, ludzkim kształtem.

—
Nie — powtórzył spokojnie. — On się nie targnął na własne życie. Ja go zabiłem. I tamtych też.
— Kogo?

Darewicz poczuł, że nogi wrastają mu w podłogę.

— Tamtych — odpowiedział proboszcz rzucił na ziemię sztucer.

Zięba najszybciej zorientował się w sytuacji. Zerknął na oba sztucery znajdujące się w tym pokoju, chwycił do ręki sztucer przyniesiony przez proboszcza.

—
To... To jest strzelba doktora — krzyknął nagle wpatrując się w numer rejestracyjny broni. — Jak Bożę kocham, to doktorowa strzelba! Jak rejestrowałem, to... Zapamiętałem, przysięgam, zapamiętałem numer!...

—
Kto tu jeszcze miał myśliwską broń? — Adam odebrał Ziębie sztucer, złamał go, powąchał otwory komór.

—
No... tylko doktor i... — wybąkał Zięba — i ksiądz!..
Adam podszedł do proboszcza.

—
Iz tego też... puknięto! Więc jak to jest, proszę księdza?

Doktor popełnia samobójstwo z waszego sztucera, a z kolei jego sztucer macie wy?

Proboszcz jakby był uwiązany spojrzeniem do podłogi.

—
Zabiłem — powtórzył cicho. — Zabiłem trzech ludzi!...

Nie pamiętali, jak długo trwała cisza po tych słowach. Ten naraz dziwnie spokojny i jasny głos księdza Nałęcza kazał im znowu spojrzeć na niego:

—Czy wy tego nie rozumiecie? Zabiłem!

—
Co, żarty się księdza trzymają?...— nie wytrzymał Adam."

—
Tylko spokojnie, synku!...

—
Szefie!...

—
Spokojnie, powiedziałem. — Darewicz zacisnął dłoń na ramieniu Adama, a potem dodał cicho —
Trzeba ściągnąć Ramonia.

Może nie będzie musiał rozpoznawać ich... z fotografii.

Jego oczy spotkały się z oczami proboszcza, w których wyczytał więcej, niż tamten mógł wyrazić.

Południe. Łanowice żyją jeszcze wydarzeniami ostatniej nocy, ale spiekota tego lata, „opady” słońca, które wałęsa się z nieba, wreszcie nie tak dawno wspomnienia innych okrucieństw, to wszystko

każe mieszkańcom osiedla wejść w godziny popołudnia jak w drzwi własnego domu, które, gdy zatrzaśnięte, nie przepuszczą żadnego odgłosu z zewnątrz.

W dwie godziny potem sprowadzono do Łanowic Ramonia.

Zidentyfikował zwłoki zamordowanych na plebanii. Tak, to są ci sami ludzie, których ostatni raz widział w restauracji Wacławskiego.

Adam wrócił do domu wczesnym wieczorem. Bez apetytu jadł kolację, a właściwie ledwo przełknął parę odsmażanych klusek.

Milczał, Inka również nie próbowała nawiązywać rozmowy.

Opowiedział jej już o wszystkim, kiedy tylko przekroczył próg domu.

Siedział zamyślony przy stole dłubiąc widelcem w talerzu.

Nagle wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju. Miał na nogach nowe, sprezentowane mu przez Inkę ranne pantofle.

— „Zbieracz”?!... — wyrzucił jeden z pantofli do góry, aż zawirował w powietrzu. — No i co nam dał ten cały

„Zbieracz!”?...

Inka odłożyła książkę, nad której stronami usiłowała się od dłuższego czasu skupić.

— Ty, ty... Sherlock Holmes z problemami — powiedziała nadając głosowi możliwie ostre brzmienie. — Uspokój się, ale to już! I skończ kolację!...

— Inuś, Inuś, jak ty nic nie wiesz...

— Dużo wiem!

— Ten ksiądz... Dlaczego on tak mówi? Dlaczego przyznaje się do tego mordu? Kogo kryje?

— Nikogo!

— Co, nikogo?

— Usiądź przy mnie.

Pociągnęła go za rękę i posadziła przy sobie na tapczanie.

— Ja myślę... — zaczęła.

—

To już dużo!

—

Co?

—

Że myślisz.

—

Adam!

Odwróciła się do niego plecami i sięgnęła po książkę.

—

Inuś... — przesunął dłonią po jej włosach. — Naprawdę, dziecinko, co ty możesz wiedzieć?

—

Właśnie, że tak! — cisnęła książką o tapczan. — A przynajmniej domyślam się...

—

Czego?

—

Jak to jest z tym księdzem.

—

Coś mi się wydaje, że zamiąnimy się zawodami.

—
Bez przesady, kochanie!

—
No już dobrze. — Adam rozciągnął się na tapczanie. —
Zamieniam się w słuch.

—
Ten ksiądz...

—
Tak, ksiądz Nałęcz, parafia Łanowice.

—
Nie przerywaj mi! Ja myślę, że to był dla niego po prostu jedyny sposób, żeby was naprowadzić na ślad...

—
Daj spokój,, to nie jest to!... To nie to!... — Adam poderwał się z tapczanu.

—
A co, co?!...

—
Dlaczego nie zgłosił się zaraz wtedy, gdy się u niego zjawili? — argumentował Adam. —
Dlaczego dopiero ten numer ze sztucerem... I to kłamstwo, które aż biło w oczy!...

—
Spowiedź — rzuciła rzeczowym to- , nem Inka..

—
O czym ty mówisz?

Inka przysunęła się do niego bliżej.

—
Adaś, a jeśli tu chodzi o spowiedź?

—
Nie, no co ci przychodzi do głowy?!

—
Spowiedź, powtarzam! — krzyknęła rozzłoszczona, że torpeduje jej każdy domysł.

—
Niech będzie. — Adam udał, że jest gotów spokojnie jej wysłuchać.

—
Ten... ten drugi był u niego przez pewien czas kościelnym, tak? — rozpoczęła swój wywód. —
Ludzie go rozpo-znali. „Michał” mówili. Przy nim znaleziono pistolet Załęskiego. Jeden z nich, ten jak mu tam...

— Walendzik.

—Walendzik był ciężko ranny. Musieli się gdzieś ukryć.

Gdzie? Na plebanii Nałęcza. To musiał być pomysł tego Michała...

— Ale dlaczego?...

—Cicho! Chodzi ci o to, dlaczego proboszcz zdecydował się ich ukryć. No za- . stanów się —
dlaczego? Co go mogło zmusić do ukrywania ich i potem.. I potem do tego wyznania, że zabił...

— Ależ on nic poza tym nie chce wić!

— Tajemnica, tajemnica spowiedzi! Nie mógł wydać morderców, bo prawdopodobnie jeden z nich musiał się u niego wypowiadać.

To wszystko, tak myślę.

Adam znów rzucił się w niespokojny spacer po pokoju.

— To mogłoby się zgadzać — zaczął głośno myśleć. — Tamten go związał tajemnicą spowiedzi, a potem Nałęcz nie mógł już inaczej postąpić. Mógł tylko- czekać na okazję... Ale jaką?

— Każdy pretekst był dobry.

— Ten był najgorszy.

— Nie miał zbyt dużego wyboru.

— Rzeczywiście.

— Adaś, no a co z tą zamianą sztuce- rów? — możliwości dedukcyjne Inki za- ~ kończyły się w tym miejscu.

Adam po raz pierwszy tego wieczoru się uśmiechnął.

— To proste. Proste i trochę głupie. Faktyczny morderca chciał nas normalnie skołować. Drobnny zabieg dla częściowego zmylenia śladów. Kiedy Ramoń rozpoznał tamtych dwóch —

Walendzika i tego... Michała, wszystko stało się jasne.

Zabójca upozorował samobójstwo lekarza. Liczył poza tym na pieniądze. Pozorowanie samobójstwa to jeden kawał tego pana.

Dwóch swoich współników zabił, bo widocznie stali się niewygodni. Przy tych

dwóch nie znaleziono „waltera”, z którego strzelano do Zygmunta. Zostawił im za to pistolet Załęskiego. Znów nowy trick.

I w to wszystko postanowił wmieszać jeszcze księdza. Nie wiedział tylko, że mamy Ramonia, że mamy świadka, który go rozpoznał, który był obecny przy jego rzekomej śmierci. Herr Stimmler pewnie teraz znów spróbuje się przefarbować, może nawet wąsy albo brodę zapuści... No nic, znajdziemy tego pana.

— Możecie długo szukać.

— Właśnie!

— A on w tym czasie może znów do kogoś strzelić, po prostu dla...

— Dla zmylenia śladów. To chciałaś powiedzieć? — Adam upił

łyk zimnej już herbaty. — Pozostał mu ksiądz. Jest na razie w hotelu, pod dobrą opieką.

Zobaczymy. Szefowi chodził po głowie jakiś pomysł. Tak... zobaczymy...

W godzinę potem major Darewicz prze- stępuje próg mieszkania Adama. Ma obie ręce zajęte. W jednej spóźniona wiązanka kwiatów dla Inki, w drugiej pudło magnetofonu. Zza jego pleców wyłania się niska postać Ramonia. Nie jest to już ta sama sylwetka. Przed oczami Adama ukazuje się stary człowiek, w za luźnym nieco dla niego garniturze, ogolony, wymyty, resztki siwych włosów dokładnie przyczesane na skroniach. Twarz tylko ciągle jeszcze nosi na sobie znamię przygnębienia i jakby wstydu.

Usiedli przy stole, przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

— Przygotuję kawę — powiedziała Inka i przeszła do kuchni.

— Spróbujmy w ten sposób, Adam. — Darewicz położył przed nimi zwój papieru. — Udało nam się odnaleźć zdjęcia pana Ramonia sprzed czterech lat. Wygląda na nim tak, jak musiał go zapamiętać Stimmler z dnia tego... tego swojego „samobójstwa”.

I mamy też drugie zdjęcie. Zdjęcie takiego, jakim musiał go zapamiętać tam, w restauracji Waclawskiego. Spójrz!...

Rozwinął przed Adamem zwój papieru. Były to tzw. „szczotki drukarskie”, jedna kolumna gazety codziennej, która ukaże się nazajutrz rano. W dole, w samym rogu kolumny widniały dwa zdjęcia Ramonia. Jedno — skopiowane z Kennkarty, drugie sprzed kilkunastu gbdzin — zdjęcie człowieka,

który prosił o resztki piwa...

Nad obu fotografiami bił w oczy napis „List gończy”.

— Pan Ramoń zgodził się na ten zabieg — mówił dalej Darewicz. — Jeśli chodzi o konsekwencje natury moralnej, to...

Zresztą, nikt by go nie zidentyfikował teraz, po tylu latach.

A w końcu, jeżeli będzie to potrzebne, to umieścimy po tym wszystkim sprostowanie...

— Wybacz, ale ten twój „zabieg”... zaniepokoił się Adam.

— Najpierw przeczytaj!

Adam prześlizgnął się wzrokiem po komunikacie wydrukowanym pod obiema fotografiami:

„Poszukuje się osobnika o nieznanym nazwisku. Poszukiwany pracował w czasie okupacji przy Gestapo w Jaworkach.

Podejrzany jest o dokonanie szeregu zbrodni, m.in. na lekarzu i proboszczu parafii w Łanowicach oraz na dwóch innych, nie zidentyfikowanych...”

— To ryzykowne!... — Adam przerwał czytanie.

— Wiem! — powiedział szybko Darewicz — doskonale o tym wiem!

Ale posłuchaj... Jutro znajdzie się to we wszystkich kioskach w kraju. Ten, którego podejrzewamy, że jest Stimmle-rem —

czort wie, jakie on teraz ma nazwisko — ten drań wie, że ksiądz Nałęcz żyje. Wie poza tym, kto zabił tamtych dwóch...

— Pięcioro — poprawił Michał.

— Mówię o Łanowicach. I teraz my mu zrobimy kawał.

Przynajmniej ja na

to liczę i dlatego ryzykuję. Ten komunikat nie da mu spokoju.

Zbyt daleko od Łanowic nie mógł jeszcze uciec. Dalej, decydujący jest fakt, że dajemy zdjęcie właśnie pana Ramonia.

Człowieka, który wie, jak odbyło się cztery lata temu to

„samobójstwo”. Mógł wtedy w restauracji Wacławskiego nie poznać pana Ramonia... No, ale zestawienie tych dwóch zdjęć...

Rozumiesz już?

— Zaczynam.

— I to jest drugi moment...

— ...psychologiczny — uzupełnił Adam.

<— Tak jest! On wróci. Przysięgam ci, że wróci. To stara i ograna historia, niestety prawdziwa — każdy z nich wraca kiedyś na miejsce zbrodni.

— Taak... — powiedział przeciągle Adam.

Darewicz, jak to było w jego zwyczaju, znów złamał dwie zapałki usiłując zapalić nowego papierosa.

— A my sobie poczekamy, poczekamy... — dokończył.

— Istnieją dwie ewentualności, że on może wrócić. — Adam nie mógł już usiedzieć na miejscu.

— Po pierwsze — sprawdzić, jak to jest z księdzem i być może pozbyć się tego... ostatniego świadka. Po drugie — złoto doktora, bo schowek, który odkryliśmy, był pusty. No, ale może doktor... Przypuszczam, że chyba coś tam jednak miał. Więc Stimmler mógł to zamelinować gdzieś w znanym sobie miejscu — plebania, kościół?...

Weszła Inka z kawą, rozstawiła na stole filiżanki.

— Ja... ja kawy nigdy — odezwał się po raz pierwszy Ramoń.

Darewicz uśmiechnął się:

— Zapewniam pana, że kawa też jest niezła, powiedzmy, na samopoczucie.

Wstał od stołu i podłączył do sieci magnetofon. Po chwili rozległy się pierwsze dźwięki „Toccaty” Bacha. To była ta następna niespodzianka majora, powód, dla którego przydzwigał tu pudło magnetofonu.

— Ulubiona „Toccatą” naszego proboszcza — powiedział

Darewicz. — Tak mi się przynajmniej zwierzył. Mówił, że grał ją tamtej nocy...

Ta „Toccatą” była jakby specjalnie „spreparowana”. Jej wykonanie nie stało na najwyższym poziomie, a nawet chwilami interpretacja kilku fraz wyraźnie trąciła amatorszczyzną.

— Nawet nie wiesz, kto tak „partaczył” — wtrącił w czasie słuchania muzyki Darewicz.

— Amator? — spytał szeptem Adam.

— Muzyk, wybitny muzyk, którego poprosiliśmy, żeby był amatorem. Jeden raz, jeden jedyny...

— Kiedy zdążyliście nagrać?

— A kiedy zdążyło się to wszystko stać?

Darewicz działał błyskawicznie. Poproszono wybitnego wykonawcę, by zechciał dla specjalnych celów nagrać na taśmę ten jeden z najgłośniejszych utworów J. S. Bacha. I niejako „reżyserowano” to nagranie, prosząc, aby nie było zbyt czyste, aby cechowały je wszelkie znamiona amatorszczyzny. Po prostu spróbowano podsłuchać możliwości wykonawcze ks. Nałęcz.

Nie przeszkodziło to jednak w tym, że Ramoń słysząc dźwięki

„Toccaty”, w tym, nawet w tym wykonaniu, zakrył rękami twarz i przenikający przez palce płacz tłumiał słowami:

— To... to piękne! To... jakby niebiosa nagle rozwarło i...

I światło spadło na ludzi... I wszystkich ludzi światłem, że-by... żeby oprzytomnieli... Boże!

Darewicz wyłączył magnetofon.

— Adam, ty to zagrasz — powiedział spokojnie. — Zagrasz, jak nikt dotąd nie zagrał.

— Przecież ja nie mam pojęcia... — zaczął Adam.

— Zagrasz! — powtórzył Darewicz.

Spojrzeli na Ramonia. Stopione z twarzą dłonie, całe ciało jakby wsłuchane w muzykę, której dotąd nie mógł znać, która spadła nagle na niego jak oczyszczenie...

— Oczywiście, że „zagram” — zrozumiał rozkaz majora Adam. —

Koncertowo!...

—

Szkoda tylko, że na płytę tego nie nagrają — powiedziała Inka i zaczęła sprzątać ze stołu.

Wadwa dni potem, o tej samej porze...

Kościółek w Łanowicach. Na pięterku, gdzie są organy, drga nikły, mały płomyk świecy. Dźwięki „Toccaty” — natężone jakby i rozpraszające dookolną ciemność, dochodzą do jeszcze paru nie śpiących mieszkańców Łanowic.

Drzwi kościoła są otwarte. Ksiądz Nałęcz nie zwykł ich zamykać podczas swojego nocnego muzykowania.

Jest wysokie, niemal obnażające światło księżyca.

Goch-Stimmler, podpierając ramieniem drzwi kościoła — by nie skrzypiały — otworzył je ostrożnie. Właściwie nie zagrazał mu żaden dźwięk. Muzyka była zbyt intensywna, zbyt donośna...

Wypełniała wieczorami kościół od dwóch dni.

I tylko wieczorami, wieczorami — dla niego.

Zaczął iść cicho po schodach, na chór. Skrzypiały, uważał na każdy swój krok...

Wszedł na chór i... na zydlu stojącym przy klawiaturze nie zobaczył nikogo.

Nie zdążył wyjąć „waltera”.

—

Przyszedł pan posłuchać muzyki, Herr Stimmler?... — Adam wyłonił się z ciemnej wnęki.

„Toccata” brzmiała nadal.

Na szpulach magnetofonu, schowanego za organami, taśma sunęła równo, jednostajnie. W wieczór wdzierał się słynny, wstrząsający motyw...

Powtarzający się wstępny motyw „Toccaty”.